Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 42 (1830) • 17–23 października 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Koalicja kapituluje

str. 4

OSTATNI KOSYNIER

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 9bba2651f1

WOJNA DOMOWA

Świętowaliśmy półmetek rządu Tuska. I tak, my też mamy wrażenie, że słowo „świętować" brzmi cokolwiek nieadekwatnie w kontekście Rady Ministrów, którą dobrze ocenia 29 proc. obywateli, a źle 46 proc. – ale przecież dają z siebie wszystko i to jest najważniejsze. Czy nie tak mówimy dzieciom, które przegrają konkurs w przedszkolu? Z innych ciekawych sondaży warto wspomnieć ten zrobiony przez IBRiS dla „Rzeczpospolitej", w którym 65,4 proc. respondentów powiedziało, że rząd „rządzi gorzej, niż się spodziewali", a 27,7 proc. – że „zgodnie z ich oczekiwaniami". Ta ostatnia kategoria jest szczególnie ciekawa: może wszak obejmować zarówno zadowolonych wyborców obecnej władzy, jak i tych, który z góry wiedzieli, że będzie do dupy i się nie pomylili. Tych, którzy uważają, że Donald przerósł ich oczekiwania, jest 3,3 proc.

Sondaże partyjne także przynoszą interesujące informacje. Wedle Ogólnopolskiej Grupy Badawczej z czterech formacji koalicji rządzącej do sejmu wchodzi tylko jedna – KO; według Opinii24 o piczy włos załapuje się jeszcze Lewica (5,4 proc.). W obu badaniach PSL i Polska 2050 mają 2 do 3 proc. Szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Jan Grabiec – który ostatnio wsławił się stwierdzeniem, że jego partyjny kolega poseł Sterczewski popłynął we flotylli Sumud na „wakacje" – skomentował sondaże ś.p. Trzeciej Drogi w niezwykle przebiegły sposób: „Ja tu widzę powolną utratę elektoratu, wynikającą z tego, że ludzie czują się zawiedzeni: obiecaliście, że stworzycie rząd, a teraz podkopujecie własny rząd… Im bardziej jakieś ugrupowanie kwestionowało politykę rządu, który tworzyło, tym więcej straciło w sondażach"… A teraz jeszcze jedna interesująca liczba. Otóż jeśli chodzi o wyborców KO, to tylko 42 proc. uważa, że władza nie dorosła do ich oczekiwań. Wśród wyborców TD: aż 83 proc. Zaryzykujemy zatem tezę, że PSL i Polska 2050 biorą w dupę od wyborców nie za to, że krytykują rząd, ale za to, że nadal w nim tkwią.

Wśród różnych występów ku czci półmetka naszą uwagę zwrócili dwaj prominentni platformersi, szef MSW Marcin Kierwiński i wiceszef MON Cezary Tomczyk, którzy uznali, że najlepszym miejscem do promowania sukcesów demokratycznej, europejskiej władzy jest pięciometrowy płot graniczny, zwieńczony drutem kolczastym. Panowie ustawili się pod tym płotem, przyjmując pozę, którą wylansował w świecie polityki prezydent Nawrocki: w takim nieco bolesnym rozkroku, który wskazuje, że jaja mają tak potężne, iż nie mieszczą im się między udami. Wietrząc jaja, ministrowie pochwalili się, że „mamy do czynienia ze skokowym wzrostem budżetu na obronność: między rokiem 2022 i 2025 możemy mówić o trzykrotnym zwiększeniu wydatków na obronność państwa". Jakbyście nie widzieli, to jest powód do radości. Obowiązkowej: „To są sukcesy, które powinniśmy odbierać jako sukcesy całego państwa, niezależnie od tego, jakie mamy sympatie polityczne".

Premier Tusk pojechał do Raciborza, gdzie w halach dawnego Rafako dawny Jelcz będzie robił podwozia do zestawów rakietowych Narew. Bo na chuj komu autobusy i kotły, jak można zbudować coś fajnego do zabijania ludzi. Przy okazji – co odnotowujemy z satysfakcją – przewodniczący Platformy Obywatelskiej zaczął mówić językiem lewicy: „Fakt, że w Raciborzu będzie odbywać się produkcja zbrojeniowa, daje bardzo stabilną perspektywę. Losy ludzi tu pracujących nie będą zależały od kapryśnych właścicieli czy od jakichś wahań na rynku. Tak naprawdę fakt, że to MON i polskie wojsko będą partnerami dla produkcji w Raciborzu, gwarantuje na długie lata bardzo stabilną perspektywę i to poczucie bezpieczeństwa"… Bardzo nas raduje, że Donald Tusk odszedł od swej młodzieńczej fascynacji nieomylnością niewidzialnej ręki rynku à la Milton Friedman i doszedł do głęboko keynesowskiego zrozumienia aktywnej roli państwa w organizowaniu rynku pracy, ale ten zestaw – interwencjonizm plus zbrojenia – jakoś nam się niepokojąco kojarzy. Jak to było? Narodowy socjalizm?

W sukurs rządowi przychodzi opozycja, a przynajmniej niektóre jej figury, dbające o to, aby nikt nie zapomniał, jaki skład występuje po drugiej stronie boiska. W sobotę przypomniał o sobie sędzia Iwaniec – współtwórca kampanii hejtu organizowanej przez resort Ziobry, prawa ręka wiceziobry nazwiskiem Piebiak. Pan sędzia był łaskaw jebnąć wozem w drzewo, po czym opuścił pojazd i chwiejnym krokiem udał się w kierunku domu. Sąsiedzi, obrzydliwi donosiciele, zadzwonili po psiarnię, która bezczelnie kazała panu sędziemu dmuchać. Wydmuchał 1,8 promila i orzekł, że nie prowadził, a kto prowadził, nie pamięta, bo był pijany. Trzy dni później poseł Mejza grzał S3 z szybkością 200 km/h, a kiedy policja go zhaltowała, powiedział, żeby mu skoczyli, bo ma immunitet i się spieszy. Nie żeby nam jakoś szczególnie przeszkadzał fakt, że pisowcy czynownicy srają we własne gniazdo, nurtuje nas jednak pytanie: jakim trzeba być idiotą?!

A skoro już jesteśmy przy PiS: Jarosław Kaczyński odbył konferencję prasową. Perły z ust prezesa nieczęsto padają przed wieprze z mikrofonami, toteż każda jest godna odnotowania. Nas najbardziej zachwyciła następująca charakterystyka migrantów importowanych w czasach PiS i wszystkich innych: „Trzeba wyraźnie odróżnić pracowników sezonowych, których polska gospodarka będzie musiała przyjmować, od nielegalnych imigrantów, których bardzo łatwo rozpoznać". Po czym? Prezes wyjaśnia: „To są niemalże wyłącznie mężczyźni, prawie zawsze młodzi, no, powiedzmy sobie, nawet fizyczny typ jest często bardzo taki podobny. Znaczy, można powiedzieć: rześci (zapewne miało być „rześcy") mocni, młodzi mężczyźni. Co do ich kwalifikacji do pracy, chęci do pracy, no to zawsze się trzeba odwoływać do empirii, a ta empiria pokazuje, że oni nie po to tutaj przyjeżdżają". Obiektywnie rzecz biorąc, należy docenić fakt, że tym razem nie było nic o pasożytach i pierwotniakach, które brudasom nie szkodzą, a nam, białym Europejczykom, owszem – ale nadal jest to profilowanie cokolwiek rasistowskie. A poza tym – od kiedy to prezes nie lubi młodych rześkich mężczyzn?

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Październik 2013 r.

Świętego Firmina

Daniszewska (moja żona) wyjechała do hotelu, gdzie wkładają ją do błota i do wody leczącej wszystko, oprócz wiary w tę wodę. Podlega także obtłukiwaniu zwanemu masażem. Po co jej to, nie pytam, bo żon nie należy wprawiać w konsternację. W każdym razie jestem słomianym wdowcem i ze słomianym zapałem zbieram się ruszyć w miasto. Co 80-latek może w mieście: zjeść, upić się, iść do kina albo teatru. Do filharmonii nie, bo tam grają repertuar, a nie muzykę. Na wystawę nie, bo obraz już widziałem. Mogę spotkać się ze znajomymi, ale oni wszyscy wszystko już powiedzieli mi o sobie i nawzajem. Kiedy myślę słowo „wszystko", świta mi, że wszystko, co mam w mieście, mam także w domu i słomiany zapał wygaszam. I siup z Azorem do łóżka, gdyż pedofilia nie wyklucza zoofilii, abiskupie Michaliku. Kij ci w ks. Oko.

Świętego Wilfreda

Trzy tygodnie temu ogłosiłem w „NIE" życzenie, żeby po spaleniu mnie pośmiertnym żona wrzuciła mnie do kibla i spuściła wodę. Tydzień temu w „Polityce" profesor Sorbony Ludwik Stomma opublikował identyczne życzenie. Oznacza to światową modę na sposób spływania z tego świata. Strach tylko, że zaraz przy kościołach zaczną budować ozdobne sracze pogrzebowe z aniołkami, krzyżem i organami. W każdym razie chcę podkreślić z całą mocą, że sracz paryski, w którym skończy Stomma, i sracz w Konstancinie, gdzie mnie spłuczą, to dwa zupełnie odrębne klozety niemające ze sobą nic wspólnego.

Świętego Gerauda

Aleksander Kwaśniewski, polityk lewicy, przepowiada, że po wyborach będzie rządziło PiS. Jeżeli Kaczyński wygra, ale rząd stworzy nie on, lecz zjednoczona opozycja, to zaraz się ona pokłóci i będą przyśpieszone wybory. PiS jako partia „skrzywdzona", bo zwycięska a niedopuszczona do władzy, może wtedy uzyskać konstytucyjną większość.

Były polityk PiS Michał Kamiński stanowczo twierdzi, że PiS nie wygra wyborów. Niestety, przywykłem polegać na Kwaśniewskim.

Świętego Justyna

Jakie są uciechy arcybiskupa, kiedy nie śpi? Rzecznik szefa polskiego Kościoła abepe Michalika ogłosił, że Michalik całą noc nie spał, biedactwo. A nie mógł zasnąć po tym jak publicznie skłamał, bo oświadczył, że się „przejęzyczył", prawiąc, iż to dzieci lgną do księży i ich deprawują, zamieniając w pedofilów. Polecam na sen czytanie brewiarza, bo bezsenny biskup może zostać wampirem.

Świętej Teresy

W radiu PIN wsparłem świątobliwą ekscelencję Michalika, mówiąc, że jeżeli pedofil nie stosuje przemocy fizycznej, lecz tylko duchową, dzieci zazwyczaj czerpią przyjemność ze stosunków miłosnych i innych czynności seksualnych. Krajowa Rada Radia i Telewizji zapowiedziała jakieś represje wobec radia za głoszenie poglądów, z którymi się nie zgadza. Wysłałem więc oświadczenie, że radio PIN niewinne. Mówiłem na żywo, a przerwanie programu tylko podkreśliłoby moje wredne, a już wypowiedziane poglądy. Poradziłem radzie, żeby wydała telewizjom i rozgłośniom radiowym zakaz zapraszania Urbana. Tkwi w tym pewna złośliwość, której dzisiejsza rada już nie dostrzeże. Przy stoliku prasowym Okrągłego Stołu w 1989 r. Solidarność nie żądała jeszcze zniesienia cenzury. Pragnęła, aby ta reagowała na niedopuszczalne treści, natomiast nie wykluczała z obiegu żadnych osób. Zgodziłem się na to w imieniu partii i rządu. Życie to jedna wielka uciecha.

Świętej Edwigi

Robert Krasowski opublikował w „Polityce" trylogię zachwytów nad Wałęsą. W jego analizach nie ma mas – jakby zauważył Lenin. Wszystko rozgrywa się między Wałęsą i jego otoczeniem oraz Wałęsą i władzą. A masy w 1981 r. się radykalizowały, grożąc Wałęsie upadkiem, po stanie wojennym energia stęchła, co przywróciło Wałęsie władzę nad opozycją. Wreszcie to nie tylko Geremek z Michnikiem 4 czerwca 1989 r. głosowali na ludzików, z którymi Wałęsa się sfotografował. Zdecydowali głosujący.

W III części Krasowski twierdzi, że władza w początkach III RP była tak rozproszona i zanarchizowana, że Wałęsa trafnie dążył do jej skupienia poza parlamentem. Są różne sposoby przeciwdziałania nadmiarowi partii i słabości parlamentu oraz rządu. Np. wyższy próg wyborczy. Gdyby prezydentowi Wałęsie udało się uzyskać całą tę władzę, o którą zabiegał, tj. nad rządem, sejmem, wojskiem i służbami specjalnymi, byłby dziś Łukaszenką, w najlepszym wariancie Putinem. Szczęściem popierał Balcerowicza. Dzięki temu mieliśmy w Polsce radykalną zmianę ustroju, a wskutek dolegliwości tej operacji – powrót do władzy postkomunistów. Gorliwych budowniczych drugiego już ustroju.

Świętego Boduena

PiS głosiło hasło: „Dzisiaj Warszawa, jutro cała Polska". Wzorowane było na hitlerowskiej pieśni: „Dziś Niemcy, jutro cały świat". Oby i kaput PiS-u był podobny. Przykro tylko, że Twój Ruch wystąpił jako sprzymierzeniec PiS w referendum stołecznym. Trzeba było się wycofać, gdy sprawa stała się zmaganiem PiS z PO. Kolejny błąd Palikota to ta kolaboracja cuchnąca. Bo czyż naprawdę ważne jest, kto administruje Warszawą, kiedy ważyć się będą losy polityczne kraju. Raz już w godzinie W „prawdziwi patrioci" spowodowali zagładę Warszawy, bo im się zdawało, że od tego będą rządzić Polską.

Chcąc nie chcąc, Twój Ruch dał sygnał, że PiS nie jest pozbawione możliwości koalicyjnych.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Tatrzański Park Narodowy** sprawdza działanie woreczków toaletowych. Przed testem każdy leśniczy otrzymuje kawkę i papieroska.
- Prokuratura przygląda się wypowiedziom **Bąkiewicza** o wyrywaniu chwastów i zrzucaniu napalmu. Bzdura, pan Robert przygotowuje się do konkursu przyrodniczego dla klas I–III.
- **Rząd** planuje wprowadzić nowe przepisy dotyczące sprzedaży alkoholu w sanatoriach. Akurat pokolenie kuracjuszy na luzie ogarnie produkcję samogonu.
- **Kaszel** wywołał oburzenie wśród widzów konkursu chopinowskiego. Agonalny kaszel na tym konkursie ma na celu oddanie hołdu kompozytorowi.
- Topola kanadyjska została wybrana **Warszawskim Drzewem Roku.** Świerk rosyjski został zdyskwalifikowany w ramach sankcji wojennych.
- **Portal fronda.pl** informuje, że przyprawa do piernika udrażnia żyły i regeneruje wątrobę. Stary piernik z Torunia również drenuje kieszenie.

MARTA M.

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Lawendowe powołania

Ostatnio media donoszą o urobku ostatniej łapanki na kandydatów do diecezjalnych seminariów duchownych i nowicjatów zakonnych. W ostatnich latach są to wręcz łapanki z nagonką przeprowadzane w parafiach, aby seminaria duchowne i nowicjaty zakonne, które też kształcą do zawodu księdza/ojca zakonnego, vide Rydzyk, a które jeszcze istnieją, nie zostały zlikwidowane jak wiele z nich w przeszłości z powodu braku narybku. Kandydatów jest z roku na rok coraz mniej, ale i tak jest ich jeszcze zbyt dużo. Dlatego na tych, którzy już wstąpili do seminariów duchownych, powinniśmy jako obywatele oddziaływać informacyjnie i edukacyjnie i na ich nazwiska, które są na stronach seminariów diecezjalnych czy nowicjatów zakonnych, przesyłać stosowne książki i gazety. Wtedy po stosownej lekturze niektórzy z nich zdadzą sobie sprawę, w co wdepnęli i że np. nie jest to żadne „powołanie", a najnormalniejsze gejostwo, przed którym chcieli skryć się na plebanii czy w zakonie, i wtedy zrezygnują z fałszywie obranej drogi i wystąpią z seminarium duchownego czy nowicjatu zakonnego i rozpoczną normalne życie pozbawione świętoszkowatego kłamstwa.

O tym, że tzw. powołanie to bardzo często jest strach przed swoim najnormalniejszym gejostwem, pisze były zakonnik Waldemar Zboralski w artykule pt. „Watykan przeciwko uświadamianiu seksualnemu" na portalu Racjonalista.pl, dlatego dobrze byłoby, aby organizacje LGBT organizowały marsze równości jak najdalej od dużych miast, gdzieś na prowincji w miasteczkach powiatowych, skąd jest najwięcej kandydatów na księży. Oby z w/w powodów media, różne organizacje i pojedynczy obywatele nagłaśniali też organizowany w szkołach w ostatni piątek października tzw. Tęczowy Piątek, który w tym roku wypada 31 X. Pozdrawiam

CZYTELNIK

eprasa.pl 9bba2651f1

Dlaczego Polska dała Ukrainie najwięcej (względem PKB) i co z tego ma

Rys. MARCIN CHUDZIK

Między sercem a portfelem

Niewątpliwie mamy do czynienia ze zjawiskiem w historii Polski niebywałym na taką skalę – odruchem społecznym bez precedensu, kiedy to Polska i Polacy pomagają swoim sąsiadom, zamiast tradycyjnie ruszać na nich z szablą albo przynajmniej z pretensją. To nam się jeszcze nie przytrafiło, przynajmniej w takim wymiarze, bo zwykle z sąsiadami utrzymywaliśmy stosunki, powiedzmy, „dynamiczne".

Owszem, mieliśmy już w historii epizody filantropii państwowej: w 1951 r. przyjęliśmy około 15 tys. Greków – ofiar wojny domowej, którzy po przegranej z królewską armią i Amerykanami trafili do Polski Ludowej. W kraju, gdzie ludzie nie mieli na buty, znaleźli się tacy, co potrafili obcym dać dach, chleb i węgiel.

Potem, gdy generał Pinochet rozstrzeliwał w Chile lewicę, my także otworzyliśmy ramiona. Co prawda niezbyt szeroko, ale jednak – dla tych, których nie zdążył rozstrzelać. Przez chwilę staliśmy się azylem dla prześladowanych z drugiego końca świata.

Widać więc, że mamy w narodowym DNA pewną skłonność do pomocy bliźnim, pod warunkiem że są odpowiednio daleko. Ale żeby pomagać sąsiadowi zza płotu, i to tak hojnie, że aż na światowym podium po Amerykanach i Niemcach – tego jeszcze nie było.

Akt miłosierdzia czy dywersja?

Musimy więc sobie wreszcie wyjaśnić, komu pomagamy i dlaczego. Bo te motywy, choć szlachetne w opakowaniu, wcale nie są takie jednoznaczne, ani tym bardziej racjonalne. Oczywiście, przyjęliśmy 1,73 mln ludzi, nakarmiliśmy 157 tys. dzieci i ich matki, daliśmy im szkoły, dachy, pesele i święty spokój. Tylko czy to naprawdę było w interesie Ukrainy, czy może – wbrew intencjom – w interesie rosyjskiego sztabu generalnego?

No bo jak ma się czuć żołnierz na froncie, który wie, że jego żona, dziecko i teściowa wyjechały „za granicę", a granicą tą jest polski Biedronko-byt? Jakie jest morale wojownika o wolność, kiedy jest świadomy, że żona walczy o przetrwanie w zupełnie innym sensie – i że środki na życie zdobywa niekoniecznie z programu „Rodzina 500 plus"? To pytanie, które pewnie zadaje sobie niejeden Ukrainiec pod Bachmutem, patrząc w ekran smartfona i myśląc, że wolność to piękna rzecz, ale jeszcze piękniejsza jest pewność, gdzie podziała się rodzina.

A wśród tych matek, co to z dziećmi, byli też ojcowie. Całkiem zdrowi, dorodni, zdolni do noszenia broni, którzy zamiast chwycić za karabin, chwycili w Polsce za kielnię, szlifierkę i klucz francuski. I niekoniecznie w poczuciu zdrady narodowej, z czystej kalkulacji: tu płacą, tam strzelają. Polska więc, chcąc nie chcąc, uratowała nie tylko uchodźców, ale i zadała cios ukraińskiej gospodarce i zdolności obronnej, podbierając jej siłę roboczą w sile wieku. Wyszło na to, że pomagając Ukrainie w obronie niepodległości (jak nam się wydawało), pomogliśmy też Rosji w pozbyciu się paru tysięcy potencjalnych przeciwników z linii frontu.

Instynkt zamiast instrukcji

Oczywiście to spostrzeżenie jest trafne, ale już z perspektywy aposteriorycznej mądrości po szkodzie. Bo wtedy, w pierwszych tygodniach wojny, nikt niczego nie analizował. Ludzie nie mieli czasu na akademickie dywagacje. To nie władza, tylko społeczeństwo zadziałało szybciej niż logistyka państwa. Zanim ktokolwiek z rządu zdążył zwołać sztab kryzysowy, sołtysi, proboszczowie i dyrektorki szkół otwierali sale gimnastyczne i rozkładali materace jak w czasach powodzi tysiąclecia.

Zanim premier Morawiecki ogłosił, że „rząd panuje nad sytuacją", sytuacja już dawno panowała nad rządem. W terenie działał czysty instynkt: nakarmić, przygarnąć, załatwić zasiłek. A w Warszawie tymczasem toczyły się zażarte dyskusje, czy uchodźcy to bardziej sprawcy Wołynia, czy raczej potencjalni sabotażyści z rosyjskiego lądolodu. Czy pomagając Ukrainie, bronimy Zachodu, czy tylko rozdrażniamy putinowskiego lwa, i czy interes narodowy przypadkiem nie wymaga, by najpierw zapytać NATO, czy możemy być tacy dobrzy. Krótko mówiąc: społeczeństwo działało ze zwykłej przyzwoitości, gdy państwo deliberowało.

Rząd rozdaje, społeczeństwo płaci

Kiedy fala spontanicznej dobroci nieco już opadła, rząd postanowił nadążyć za nastrojami społecznymi. Uruchamiał, inspirował, a przede wszystkim bezrefleksyjnie rozdawał kasę. W ciągu zaledwie dwóch lat 106 mld zł poszło na zakwaterowanie, wyżywienie i edukację dzieci ukraińskich. A premier Morawiecki, stojąc na tle flag i mikrofonów, z dumą przyjmował podziękowania od samego Zełenskiego, który perorował z Kijowa nad naszą świętością.

Ale czy było nas na to stać? Co myśleli biedni Polacy, patrząc na beneficjentów pomocy, którzy nigdy nie zapłacili w Polsce ani złotówki podatku? Co myśleli samozatrudnieni, którym składka wzrosła o kolejne 400 zł miesięcznie, bo ukraińska matka musi mieć 500 plus?

Co myśleli płatnicy ZUS-u, którym władza zagląda w duszę i w dupę, by udowodnić, że ich chorobowe to fikcja literacka podpisana przez lekarza rodzinnego?

Na to zgody społecznej nie było. Powstał fenomen miłości z hierarchią odwrotną do naturalnej: najpierw kochamy obcych, potem – jeśli coś zostanie – swoich.

Wyraźnie widać, że w całej tej akcji nie było ani mądrości, ani strategii, ani nawet porządnej ściemy geopolitycznej. Rząd PiS nie tyle kierował sytuacją, co nadzorował rzeczywistość, która i tak toczyła się sama jak lokomotywa bez maszynisty.

Europa dzwoni, Putin nie odbiera

Co było dalej? Otóż dalej czekano na stanowisko Wielkiego Brata, czyli na to, co powie Waszyngton, oraz na telefon od Macrona do Putina, bo to był wówczas jedyny Europejczyk zachodni, którego telefony car jeszcze odbierał. Macron, człowiek dialogu, dzwonił do Moskwy z uporem godnym kogoś, kto myśli, że dyktatora można zagadać na śmierć.

W tym czasie kolumny rosyjskich czołgów dotarły już na przedmieścia Kijowa, a Niemcy w geście heroicznego oporu wobec przemocy wysłali hełmy i kamizelki kuloodporne.

Litości! Ta cała nasza solidarność z ukraińską siostrą przyrodnią Rosji ociekała hipokryzją, egzaltacją i geopolitycznym wyrachowaniem. Bo w tej wojnie łez, gestów i braku paliwa wszyscy chcieli być po właściwej stronie historii, tylko nikt nie był pewien, po której stronie ta historia w końcu stanie. I nadal nie jest.

Sprawy poszły w tym kierunku, że nagle okazało się, iż Rosji już się nie boimy. Przez lata Putin nabroił, gdzie się dało: w Czeczenii, w Gruzji, w Syrii, w Libii i Sudanie, dokąd wysyłał najemników, a w Kazachstanie – „braterską pomoc". Świat na to wszystko patrzył z rosnącym znużeniem, Zachód testował własną cierpliwość, a Putin – cudzą.

Pomoc, która pachnie prochem

Tym razem miało być inaczej. Polska w ciągu trzech lat przekazała Ukrainie pomoc czysto wojskową wartą jakieś 20 mld zł. Tyle, ile kosztowałby nowy lotniskowiec.

Zatem trzeba wreszcie to sobie na spokojnie rozłożyć: dlaczego pomagamy i jakie tego są skutki – bo nawet zacny Donald Tusk przełyka to jak łyżkę zimnej wody, a Leszek Miller w Radiu Zet wskazuje palcem na szereg spraw, które ludowi nie zawsze pasują do reklamy „Polska pomaga".

Wjechać na Ukrainę z lotniskowcem przeciw Rosji – to nie jest już sprawa „chleb i proszek do prania dla ukraińskich dzieci". W imię wątpliwej, a miejscami bardzo labilnej (jak pokazał czas) przyjaźni z Ukrainą konstruujemy sobie pewną wrogość potężnego sąsiada. To jest przesunięcie akcentów. Nie jesteśmy już neutralnym hospicjum, tylko partnerem do bitki.

Do wojny bocznymi drzwiami

Nasze armatohaubice, systemy i amunicja wymierzone w rosyjskich nauczycieli i ułaskawionych przestępców w mundurach – to już nie jest dekoracja do zdjęć. To sygnał: Polska przestała być tylko humanitarnym wspomożycielem; stała się sojusznikiem Ukrainy, który płaci, szkoli i czasem naprawia to, co się zepsuje na froncie.

W praktyce oznacza to też przewartościowanie naszej roli: stajemy się krajem przyfrontowym – a może już frontowym w znaczeniu politycznym i symbolicznym. Przychodzą też pytania – o koszty, o reakcje międzynarodowe, o to, co zrobimy, gdy ta przyjaźń przestanie być „tymczasową gościnnością", a stanie się długofalowym obciążeniem.

Nasza dobroć ma twarz i rachunek: piękna w mediach, skomplikowana w realu. I jak zwykle w polskiej historii: najpierw serce, potem myślenie, a na końcu ktoś liczy trupy.

ROBERT JARUGA

Skala polskiego wsparcia dla Ukrainy (od 2022 r.)

Kategoria	Zakres i liczby
Sprzęt wojskowy przekazany Ukrainie (darowizny)	• 318 czołgów (T-72, PT-91) • 586 pojazdów opancerzonych (m.in. BWP-1) • 137 systemów artyleryjskich (armatohaubice 2S1 Goździk) • 10 myśliwców MiG-29 i 10 śmigłowców Mi-24 • 405 przenośnych przeciwlotniczych zestawów rakietowych • ponad 101 mln sztuk amunicji wielko- i średniokalibrowej • bezzałogowce, amunicja krążąca, broń indywidualna, sprzęt medyczny • ponad 19 500 terminali Starlink zapewniających łączność internetową
Zakupy i eksport (na kredyt)	Ukraina zakupiła w Polsce sprzęt wojskowy o wartości 2,216 mld euro – w tym: • 54 armatohaubice Krab (dostarczono 36) • 60 transporterów MT-LB • 92 haubice 2S1 Goździk • tysiące sztuk broni strzeleckiej Dodatkowo Polska dostarcza części zamienne, paliwa i smary.
Szkolenia i misja EUMAM Ukraine	Polska pełni rolę gospodarza Misji Wsparcia Wojskowego UE na rzecz Ukrainy (EUMAM Ukraine). Dowództwo misji mieści się w Polsce. Do połowy 2024 r. wyszkolono ok. 60 000 ukraińskich żołnierzy, z czego 1/3 przez polskich instruktorów.
Łączna wartość wsparcia wojskowego	Szacowana na ok. 4–4,5 mld euro (18–20 mld zł), wliczając sprzęt, szkolenia i logistykę.

Tekst oparto na podstawie raportu „Polska Pomoc Ukrainie 2022–2023", opracowanego przez Radę do spraw Współpracy z Ukrainą w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i opublikowanego we wrześniu 2025 r.

eprasa.pl 9bba2651f1

Antykwariat Tuska

Co mówi o PO jebanie Sterczewskiego?

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Ze wzmożenia platformerskich komentatorów po powrocie posła Franciszka Sterczewskiego z misji Global Sumud Flotilla płyną dwie wiadomości: jedna dobra, druga zła. Dobra jest taka, że KO wchodząc między pośladki Izraela, sporo straciła; zła – że niestety również na rzecz Brauna i Konfederacji, a można to było rozegrać zupełnie inaczej.

Jęzory oburzenia

„Izrael zaatakował cywilną i pokojową flotyllę Sumud na wodach międzynarodowych, do zbrodni wojennych i ludobójstwa, których się dopuszcza, dodając kolejną zbrodnię. Uniemożliwił dostarczenie pomocy humanitarnej mieszkańcom Gazy i po raz kolejny lekkomyślnie naruszył prawo międzynarodowe” – brzmiał wstęp do uchwały Zgromadzenia Narodowego Turcji, w którym podkreślono, że atak Netanjahu na 21 tureckich obywateli – w tym posłów – wchodzących w skład akcji humanitarnej jest równoznaczny z agresją na Wielkie Zgromadzenie Narodowe Turcji.

Reakcje polityków polskiej koalicji rządzącej udowadniają nie po raz pierwszy, że w kwestii suwerenności i nastrojów społecznych wyczucie naszej władzy definitywnie poszło się jebać.

Jak z satysfakcją poinformował rzecznik dyscypliny klubowej KO, poseł Tomasz Nowak, na posła Franciszka Sterczewskiego nałożono karę finansową za nieusprawiedliwioną nieobecność na posiedzeniach sejmu. Co prawda Sterczewski, mimo sejmowej absencji na rzecz misji humanitarnej, i tak ma frekwencję głosowań lepszą (89,93 proc.) od Giertycha, Szłapki, Grabca czy Tuska, a w dodatku zgłaszał władzom klubu planowaną nieobecność i kierujące nim pobudki – ale przecież nie o obecność chodzi.

Pytany o sprawę w TVN24 Jan Grabiec stwierdził, że flotylla Sumud „przypominała wakacje” – o czym miały świadczyć fotografie uśmiechniętych młodych ludzi – i była jedynie okazją do publicznej autopromocji.

Znana z niekonwencjonalnych zachowań koalicyjna koleżanka Grabca, Klaudia Jachira, która w połowie września została zawieszona na miesiąc w prawach członka klubu za zgłoszenie nieuzgodnionych poprawek do ustawy o pomocy dla obywateli Ukrainy, uznała, że Sterczewski powinien udział w wyprawie potraktować jako misję prywatną i nie wikłać w to instytucji państwa polskiego. Powinien też – mówiła – podziękować MSZ za szybką interwencję w obronie zatrzymanych. Krytyczne nastawienie niepokornego posła do działań MSZ winno zaś – według Jachiry – skłonić klub KO do zadania Frankowi pytania, czy aby na pewno chce do niego przynależeć.

Tomasz Siemoniak w TVN24 glanował Sterczewskiego na modłę Grabca i Jachiry, a kiedy Katarzyna Kolenda-Zaleska zapytała go, jaki sygnał KO wysyła taką postawą do swoich młodych wyborców, którzy są idealistami, odpowiedział: „Uważam, że wyborcy młodsi, starsi są mądrzy i potrafią tę sytuację ocenić”.

A i owszem, szczególnie młodzi.

Beton boomerów

Najmłodsi wyborcy to 4,5 mln potencjalnych głosów (ok. 20 proc. elektoratu) z wysokim odsetkiem niezdecydowanych (30–39 proc.) Raport Fundacji Batorego „Młodzi 2025: Wartości, Polityka, Zaangażowanie” wykazał, że 57 proc. wyborców z grupy wiekowej 18–29 lat nie ufa instytucjom, ale ceni aktywizm. Na dokładkę wśród ulubionych dóbr demokratycznych tej grupy znalazły się humanitaryzm i wolność wypowiedzi. 60 proc. młodych Polaków negatywnie ocenia politykę Izraela w Gazie, zwłaszcza po eskalacji konfliktu w 2023 r. Trudno się zatem dziwić, że będąca wyrazem solidarności z Palestyńczykami misja humanitarna, w której udział wziął Sterczewski, zyskała sympatię i uznanie w tym elektoracie.

Politycy KO, często fundamentalnie niezainteresowani zdaniem innych – a już tym bardziej autorefleksją – kolejny raz pokazali, że partyjne interesy i łatwe wybory są im bliższe niż zdanie wyborców. Pierwsze jaskółki efektów już fruwają na nieboskłonie poparcia.

Według sondażu IPiN z połowy października platformiano-koalicyjne komentarze bagatelizujące izraelski apartheid i cała burza wokół tematu kosztowały Koalicję Obywatelską 2–3 pkt poparcia wśród obywateli poniżej 30. roku życia (spadek z 42 do 39 proc.). Eksperci ostrożnie szacują, że w wyborach parlamentarnych w 2027 r. pokazanie prawdziwej twarzy (by nie powiedzieć gęby) stada Donalda może skłonić 5–7 proc. głosów miękkiego młodego elektoratu KO o przesunięcia się w lewo. Jednocześnie nie ma się co oszukiwać, że przy okazji nie podkręci wyników z prawej strony.

Naturalnie

nie będzie to wina polityków KO, forpoczty cywilizowanego świata w polskiej zapyziałej intelektualnie dziurze, a leniwych i przygłupich obywateli... Tusk mógł zyskać, broniąc Sterczewskiego jako głosu pokolenia, ale wybrał dziaderską dyscyplinę partyjną.

Platforma i Koalicja mianujące się już chyba tylko w ramach żartu Obywatelskimi za kilka miesięcy wznowią kampanię utkaną przez narrację, że „warto być przyzwoitym”, a Nawrocki to kryminalista. Jednocześnie demolując jakiś sektor – praw kobiet, uchodźców, osób LGBT itd. – dla siorbnięcia głosów elektoratu Konfederacji, bo w ich założeniu ten miejsko-liberalno-lewicowy namiętnie i bezmyślnie łyka każde gówno, byle zmieszane z antypisem.

Hasztagi #Sterczewski i #FlotyllaSumud na platformie X mają 70 proc. negatywnych wzmianek o Tusku i KO. Do młodych trzeba umieć dotrzeć, Mentzen zrobił to hulajnogą, a Nawrocki kebabem. Donek nie chce hodować w swoich strukturach osób samodzielnie myślących, nieszablonowych, bo własna wola czyni z nich mniej lojalnych i nieco nieprzewidywalnych żołnierzy. Jeśli wyborcy się z tym nie zgadzają, to znaczy, że są naiwni i zmanipulowani. Bo nic nie wywołuje w liberalnych elitach rządowych takiej furii i zacietrzewienia jak krytykowanie ich w oparciu o wartości, które noszą na sztandarach.

IDALIA DUBICKA

Prawa osób LGBT pod dyktando PSL

Koalicja kapituluje

I znów koalicja dogaduje się w sprawie związków partnerskich, i znów nic nie mówi. Poprzestaje na enigmatycznych obietnicach, że powie. Katarzyna Kotula z Lewicy, rządowa specjalistka od równości, pruje się po mediach, zapewniając, że już prawie mamy kompromis dotyczący związków partnerskich. A rządowy spec od żołnierzyków Kosiniak-Kamysz Władysław natychmiast to prostuje, że nie chodzi o związki partnerskie, tylko o status osoby bliskiej. Tak czy inaczej, koalicja niezmiennie od ponad dwóch lat robi wała ze społeczności LGBT.

Nadal nie wiemy, jaki będzie kształt tej ustawy – do chwili zamknięcia tego numeru „NIE” rząd nie ujawnił tych propozycji, co do których ma być niby zgoda pomiędzy koalicjantami. Z zapowiedzi wynika, że zrobi to 17 października. Od sejmowych myszy wiemy jednak, że będzie to coś, co najbardziej odpowiada peeselowskiej propozycji statusu osoby bliskiej. A więc partnerzy będą mogli podpisać sobie notarialnie umowę, którą następnie ewentualnie zarejestrują w urzędzie stanu cywilnego. Ma to służyć uregulowaniu m.in. spraw związanych z podatkami, dziedziczeniem, prawami do informacji zdrowotnej, pochówkiem itp. Nie ma za to mowy o tym, co dla wielu jest bardzo istotne: o przyjęciu wspólnego nazwiska i przysposobieniu dzieci partnera.

Rys. TOMASZ ROGOWSKI

Wiadomo już, że nie będzie ani równości małżeńskiej, ani związków partnerskich, bo nikt obecnie w tym państwie tego nie uchwali ani potem nie podpisze. A na takie rozwiązania były szalone apetyty przed wyborami 2023 r. i zaraz po nich. Wydawało się, że skoro już pogoniliśmy PiS, to kwestia wprowadzenia równości małżeńskiej jest naturalną konsekwencją tegoż pogonienia. O tym, że tak wcale być nie musi, pisałam w tekście „Tęcza w czarnej dupie” („NIE” 43/2023) i potem jeszcze wielokrotnie. Jednak ani koalicja nie wahała się obiecywać, ani społeczność LGBT nie wahała się koalicji wierzyć.

Jesteśmy w klinczu. Z jednej strony wiadomo, że żadna sensowna propozycja nie przejdzie (bo nie podpisze jej prezydent) i wobec tego trzeba spuścić z tonu i zadowolić się namiastką. Z drugiej –

społeczność ma już naprawdę dosyć olewania jej postulatów lub wiecznych pustych obietnic i chce, żeby w końcu rządzący zaczęli traktować obywateli poważnie – nie tylko w tej sprawie zresztą.

Donald Tusk i jego koalicjanci, szczególnie ci z Lewicy, popełnili błąd zarówno jeszcze przed wyborami 2023 r., jak i po nich. O ile w kampanii wyborczej można ich było zrozumieć (obietnica ta przekładała się na konkretne poparcie), o tyle mamienie społeczności LGBT przez kolejne dwa lata zakrawa na absurd. Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie mógł sobie wyobrazić, że zatrudniony w tym czasie na etacie prezydenta RP Andrzej D. jakąkolwiek ustawę w tej materii podpisze. Przez półtora roku Kotula (wówczas ministrzyca od równości) rozpowiadała, że już, już za chwileczkę, już za momencik będziemy mieli gotowy projekt rządowy, tylko wystarczy przekonać niechętne PSL i koalicja wysmaży ustawę, że palce lizać. Oczywiście do dziś nikt nie poznał jej założeń, nikt na oczy nie widział projektu. A społeczność wierzyła i czekała.

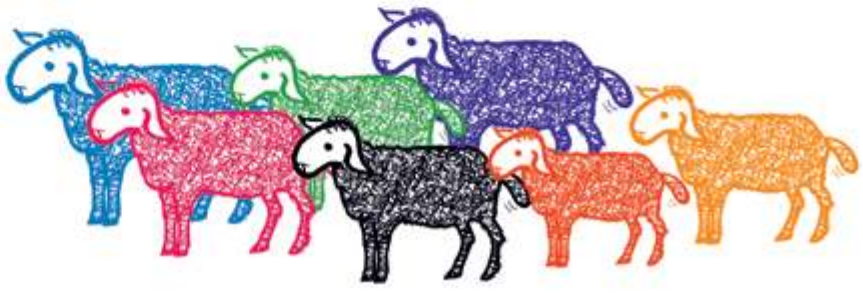

Mimo wszystko znacznie lepiej odebrane przez zainteresowanych byłoby, gdyby rząd – zamiast przez dwa lata obiecywać gruszki na wierzbie – przygotował konkretną ustawę o równości małżeńskiej lub przynajmniej o związkach partnerskich (bo takie były obietnice) i skierował ją do procedowania. Dawanie do podpisu Dudzie rzeczywiście nie miałoby sensu, ale gdyby teraz nie podpisał jej Nawrocki, to on załapałby punkty ujemne. W tej chwili zaś każdego dnia łapie je rząd koalicyjny, bo zwyczajnie nie wywiązuje się z obietnic.

W ostateczności lepiej przyjęty byłby też jasny komunikat ze strony rządu: „mamy dla was gotowe rozwiązania dotyczące równości małżeńskiej, ale dopóki nie będziemy mieć prezydenta, który nam to podpisze, na nic nie liczcie”. I te rozwiązania pokazać. To mogłoby działać motywująco. A jak w obliczu wyborów prezydenckich podziałały opieszałość koalicji i wieczne obiecywanie, kluczenie bez żadnych konkretów, to już wiemy.

Osób LGBT w zasadzie nie obchodzi, co na ten temat myśli PSL – główny hamulcowy tej sprawy w koalicji. Ludowcy nie reprezentują już obecnie właściwie nikogo poza sobą, stąd coraz więcej słychać głosów, by przynajmniej nie przeszkadzali, jeżeli nie chcą pomóc. Bo to głównie peeselowcy byli w koalicji przeciwnikami już nie tylko równości małżeńskiej, ale nawet związków partnerskich. Tłumaczyli to tym, że przecież w obecnej sytuacji – czy to za Dudy, czy to za Nawrockiego – nie ma co liczyć na podpisanie ustawy wprowadzającej jedno lub drugie. I stąd niby pomysł statusu osoby bliskiej.

Jakkolwiek trudno odmówić tej postawie pragmatyzmu – bowiem jest to jedyne rozwiązanie, które może zyskać aprobatę Nawrockiego – to jednak wzbudza ono zrozumiałe oburzenie w środowisku. Po pierwsze dlatego, że nikt nie wierzy w pragmatyzm PSL-u, a raczej – w jego bigoterię i konserwatyzm. A po drugie, jest to traktowane jako kapitulacja koalicji. O godności osób LGBT już w ogóle nie rozmawiajmy, bo w Polsce rozmowa o godności – jeżeli nie jest to godność prawdziwych Polaków-katolików – w ogóle się nie klei.

– Naprawdę nie rozumiem decyzji, żeby usunąć z ustawy o związkach partnerskich wszystko, co kojarzy się z rodziną, i zdegradować związek do umowy, bo boimy się tego, co zrobi prezydent Nawrocki (…). To nie jest poważna strategia partii. Jeśli partia wychodzi ze swoim postulatem, to robi wszystko, żeby przepchnąć go najdalej, jak się da – mówił 14 października w rozmowie z OKO.press Hubert Sobecki ze Stowarzyszenia Miłość Nie Wyklucza, adresując swoje niezadowolenie głównie do Lewicy. Bo to ona uważana jest teraz za tę siłę, która odpuściła najbardziej, nie starając się w zasadzie zrobić niczego dla sprawy. I nie uratują tego nawet dobre chęci Katarzyny Kotuli. Ani poselski projekt ustawy o związkach partnerskich, który Lewica złożyła w lipcu do sejmu – chyba tylko po to, by ratować własną twarz. Bo przecież nikt tam nie wierzy chyba, że miałby on jakiekolwiek szanse.

Lewica i Kotula nie mają w tej chwili dobrej marki w środowiskach LGBT. A jednak we wrześniowym plebiscycie Koron Równości, organizowanym przez Kampanię Przeciw Homofobii, to właśnie urzędowi Kotuli (wcześniej ministerstwu) przypadła nagroda w kategorii instytucji. Temu urzędowi, który przez niemal dwa lata opowiadał o jakimś mglistym projekcie, którego nikt nigdy na oczy nie widział, a w rezultacie – jak wynika z nieoficjalnych doniesień – zgodził się na propozycje PSL-u. I nie jest to nagroda nadana przez jakieś kilkuosobowe gremium. Zwycięzcy zostali wyłonieni w głosowaniu społeczności LGBT. Naprawdę zakrawa na aberrację umysłową, że ta społeczność nagradza tych, którzy niczego nie zrobili i zawiedli wszystkie jej oczekiwania.

EDYTA BAKER

eprasa.pl 9bba2651f1

Łyżka dziegciu w beczce whisky

Tygodnik „NIE" rozmawia z Januszem Palikotem

Ilust. PAWEŁ FERENC

– Co u pana słychać?
– Ukazał się mój „Dziennik z więzienia", oprócz tego książka o Brunonie Schulzu oraz trzecia o Józefie Czechowiczu.

– Miał pan sporo czasu na przemyślenia.
– Cztery miesiące. Te trzy książki napisałem albo w całości w areszcie, albo miałem zaczęte wcześniej, a za kratkami skończyłem. Pisałem po 10–12 godzin dziennie, co pozwalało mi jakoś przetrwać ten czas. Michnik przysłał mi do aresztu list, w którym napisał: „Janusz, w więzieniu można pisać i czytać".

– Było co czytać?
– Pozytywny aspekt polskich więzień – pewnie jeden z niewielu – to to, że mają nieźle zaopatrzone biblioteki. A na pewno we Wrocławiu, gdzie siedziałem. Może nie jest to księgozbiór, z którym da się pisać prace naukowe, ale można sobie przypomnieć klasykę lub się z nią zapoznać w czasie odsiadki.

– Co poza pisaniem i czytaniem dzieje się w pierdlu?
– Nic, przynajmniej w moim przypadku – siedziałem w izolatce. Samotność. Sam w łaźni, na spacerniaku, w celi. Dyrekcja tłumaczyła, że to wszystko dla mojego bezpieczeństwa. Cela monitorowana, co około 20 minut uruchamia się kamera, żeby sprawdzić, czy osadzony nic nie kombinuje albo nie popełnia samobójstwa. Brak intymności, a z drugiej strony brak możliwości rozmowy z innymi – to są elementy aresztu wydobywczego, oficjalnie zwanego tymczasowym. One mają złamać osadzonego i skłonić go do złożenia zeznań.

– Po coś się w końcu ten areszt stosuje.
– Tymczasowo zatrzymany – jak ja – ma mniej praw niż np. morderca odsiadujący wieloletni wyrok. Byłem też łatwym celem do oskubania – przez brak dostępu do dokumentów i prawników nie mogłem pilotować upadłości spółki, w czasie odsiadki przez jednego z inwestorów w spółkę został przejęty mój dom, który był poręczeniem. Podczas nieobecności głównego akcjonariusza i prezesa zarządu sąd podejmuje kluczowe decyzje w sprawie spółki. Moim zdaniem to nie są standardy demokratyczne.

– A jakie powinny być standardy demokratyczne wobec podejrzanych o przekręty?
– Adam Bodnar jako rzecznik praw obywatelskich co roku składał przed sejmem raport ze swojej działalności, w którym mocny akcent kładł właśnie na los tymczasowo aresztowanych. Był nadzieją. Ale jako minister sprawiedliwości nic z tym nie zrobił. Tymczasem jest gotowy projekt ustawy, który porządkuje tę kwestię, potrzeba tylko dobrej woli. Zwłaszcza że dziś nikt nie może być pewien – także polityk – czy nie będzie go to dotyczyć. Mam nadzieję, że moja sprawa będzie miała społeczny pożytek chociaż o tyle, że ktoś – może Żurek? – w końcu się za to weźmie.

– Wzruszające i znamienne, że politycy różnych opcji zwracają uwagę na nieludzkie warunki w aresztach dopiero, gdy ich samych to spotka. Ale jakieś korzyści pan z odsiadki jednak odniósł. W książce pisze pan nawet, że każdy około czterdziestki powinien posiedzieć, choćby dla higieny psychicznej. Niektórzy robią z tego sposób życia.
– Około 70 proc. więźniów po wyjściu znowu trafia za kratki. Więzienie paradoksalnie daje swego rodzaju poczucie bezpieczeństwa i stabilizację. Ci ludzie, często z patologicznych środowisk, w pierdlu mają lekarza, dentystę, fryzjera, czytelnię, siłownię – nie muszą się mierzyć z trudami dnia codziennego. Toteż większość osadzonych po wyjściu zaczyna ostro popijać, żeby jakoś sobie poradzić z rzeczywistością, a po pijaku popełniają kolejne przestępstwa, za które dostają kolejny wyrok.

– Błędne koło. Pan też chce wrócić?
– Mam nadzieję, że nie wrócę do więzienia. Jestem pewien swojej niewinności. Całą machinę przeciwko mnie uruchomił Morawiecki, uniemożliwiając mi za pośrednictwem KNF wejście na giełdę. Nie było żadnych powodów, żeby nas nie wpuścić. A to spowodowało utratę płynności. Nie mogłem dostać kredytu z banku ani dotacji europejskich, wszędzie byłem blokowany. Jak się potem okazało, inwestorzy, z którymi prowadziłem rozmowy, byli następnie przesłuchiwani przez CBA. To jak ktoś miał mi zaufać i powierzyć pieniądze? Morawiecki przynajmniej dwa razy wymieniał mnie z nazwiska w swoich wystąpieniach, próbując mnie zdyskredytować jako „kumpla Tuska".

– Czyli kolejny „polityczny"?
– Gdyby nie uwikłanie w politykę, moje losy potoczyłyby się zupełnie inaczej.

– Ale przecież siedział pan już za Tuska.
– Morawiecki i jego otoczenie chcieli tylko, żeby postawiono mi zarzuty, ale nie aresztowano, żeby nie robić ze mnie ofiary i męczennika. Sprawa potem była już na tyle rozkręcona, że Tusk z Grasiem i Bodnarem nie mieli wyjścia, musieli pozwolić na aresztowanie, żeby nie wyszło, że chronią Palikota. „Aresztowaliśmy Palikota, teraz aresztujemy Ziobrę – nie ma dla nas świętych krów" – taki miał być przekaz. Tymczasem Ziobry nadal nie aresztowano.

– Czyli w Platformie też już pana nie lubią?
– Zawsze byłem człowiekiem bardzo kontrowersyjnym, prowokatorem. W 2006 r. pojawiłem się na kongresie Platformy Obywatelskiej w koszulce z napisami „Jestem gejem" i „Jestem z SLD" – Tusk mało nie dostał zawału, jak mnie zobaczył. Potem miałem zadrę z tym środowiskiem, montowałem przecież nawet koalicję z PiS przeciw lubelskiemu PSL w sprawie lotniska w Świdniku. Wreszcie własny ruch i partia – wszystko to budziło emocje i kontrowersje i nie przysparzało mi – zwłaszcza wśród polityków – przyjaciół. Zawsze starałem się być w kontrze do dominujących narracji, za co płaci się odpowiednią cenę.

– Żałuje pan wejścia do polityki? Przecież nie była ona panu niezbędna do życia, miał pan sukcesy biznesowe…
– W polityce też na początku było pasmo sukcesów. Udało się coś, czego nie mierzy się słupkami w sondażach: zmienić język debaty. Choćby o Kościele. Dziś się już tego nie pamięta, ale gdy mówiłem, że połowa kleru to pedofile, to Monika Olejnik chciała mnie wyprosić ze studia. Wprowadziłem do sejmu Grodzką i Biedronia – dzisiaj to może nic niezwykłego, ale w 2011 r., gdy wchodziliśmy do parlamentu, to były rzeczy rewolucyjne. Tego akurat nikt mi nie odbierze. Podobnie jeśli chodzi o legalizację marihuany czy dążenie do głębszej integracji europejskiej. W 2011 r. proponowałem stworzenie armii europejskiej.

– A medyczną marihuanę wprowadzili pisowcy.
– Tak, bo procesy polityczne są rozłożone w czasie: nie zdziwię się, jak prawicowy rząd wprowadzi małżeństwa homoseksualne. Ale to Ruch Palikota zaczął drążyć skałę.

– Nie uważa pan, że osierocił środowisko, które się wokół pana utworzyło?
– Nie do końca. Jak już powiedziałem, w wyniku działalności Palikota i Ruchu Palikota nastąpiła w Polsce zmiana – przynajmniej na poziomie języka – w podejściu do Kościoła, mniejszości seksualnych czy marihuany. Czym innym jest robota tygodnika „NIE", który od lat tropił i ujawniał afery z księżmi w roli głównej, a czym innym przeniesienie tego do parlamentu, mainstreamu. To już były konkretne osoby, projekty ustaw, ogólnopolska debata. Udało nam się sprowadzić Kościół do normalnego podmiotu w debacie publicznej, a nie autorytetu. Oczywiście niestety te postulaty i projekty nie przełożyły się do dziś na prawodawstwo – np. jeśli chodzi o związki partnerskie – ale myśmy to ruszyli, i to z kopyta.

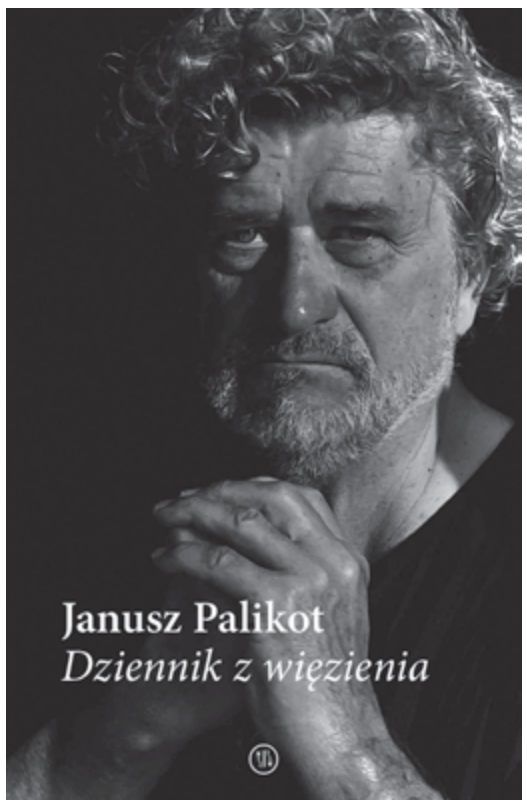

– Tak dobrze żarło i zdechło. Czemu?
– Wydaje mi się, że za bardzo byliśmy nastawieni na zmianę, a za mało na trwanie. Polskie społeczeństwo akceptuje rewolty – nowe, śmiałe wizje, ale równocześnie nie chce dawać tym wizjonerom i rewolucjonistom władzy. Polacy są konserwatywni i trzymają się pewnych idei i postaci. To nie jest przypadek, że nie udało się mnie, Petru, Biedroniowi czy teraz Hołowni.

– A konkretnie co można było zrobić lepiej?
– W 2015 r. dostałem bardzo niski wynik w wyborach prezydenckich, Miller też pod progiem, więc

> **tworzymy tę Zjednoczoną Lewicę i zgadzamy się obaj – samce alfa – na Baśkę Nowacką jako nową, kobiecą twarz, która utrzyma nas na powierzchni. Nie wyszło. Należało się wtedy upierać przy mnie lub Millerze jako twarzy, bo wyborcy zaczęli się od nas oddalać.**

Tak że nie zawsze nowość gwarantuje sukces.

– Dlaczego nie ma dziś akcji „Murem za Palikotem"? Obracał się pan wszak wśród artystów, celebrytów, szeroko pojętej elity…
– Otrzymuję liczne głosy wsparcia, choć nie wszyscy chcą, żeby wymieniać ich nazwiska publicznie.

– Kuba Wojewódzki się za panem nie ujął.
– Ostatnio rozpętała się aferka, że Julia Wieniawa powiedziała u Kuby, że bieda to stan umysłu. Okazuje się – specjalnie obejrzałem ten odcinek – że to powiedział Wojewódzki, a Wieniawa tylko skomentowała. Czy Wojewódzki stanął publicznie w obronie Wieniawy? Czy Wojewódzki wystąpił w obronie kogokolwiek kiedykolwiek? Przecież gdyby się ode mnie nie odciął, to straciłby programy w TVN-ie i Onecie, czyli całe swoje życie. Nie miał wyjścia. W tym sensie nawet nie mam do niego pretensji. Zresztą on nie był w operacyjnym zarządzaniu spółki, zajmował się marketingiem i piarem. Nie jest niczemu pod kątem finansowym winien, więc trudno mieć do niego żal, choć oczywiście po ludzku jakaś zadra zostaje. Rozumiem, że w jego życiu nie ma miejsca na takie rzeczy jak przyjaźń, bo wszystko jest podporządkowane karierze.

– A pan uważa, że bieda to stan umysłu?
– W tym zdaniu nie ma nic złego, bo według mnie ono oznacza, że jeśli nie będziemy ludzi edukować, to zostaną w tym miejscu, gdzie są. Ludzie bez wykształcenia, doświadczenia i kapitału społecznego nie wyrwą się z tego, w czym tkwią. To się na szczęście bardzo w Polsce zmieniło w ostatnim czasie. Zatem przyjmując życzliwą interpretację, można stwierdzić, że to zdanie ma sens. Choć podane bez kontekstu może bulwersować.

– Pana postać też bulwersuje. W komentarzach pod wywiadami z panem po wyjściu pada wiele „ciepłych" słów.
– W 2015 r. jako Zjednoczona Lewica z Millerem i Nowacką – szefową naszej kampanii – nie weszliśmy do parlamentu, bo media podlansowały Zandberga i Razem, przez co nam zabrakło pół procenta do przekroczenia progu jako koalicji. Wtedy, gdy chodziłem po ulicach, to ludzie czasem pluli na mnie, wyzywali. W ich oczach uchodziłem wówczas za bluźniercę od wibratora i świńskiego ryja, który obraża polskie świętości. Wówczas to był autentyczny hejt, przenoszący się do realu. A teraz w 99 proc., bo oczywiście zdarzają się jakieś pojedyncze nieprzyjemne przypadki, ludzie mnie pozdrawiają, wyrażają wsparcie i szacunek. W internecie rzeczywiście jest dużo krytyki i hejtu, ale nie wychodzi on poza sieć. Nie boję się chodzić po ulicach czy jeździć transportem publicznym, na który zresztą jestem skazany, bo nie mam samochodu.

– Co tym razem nie zagrało?
– Wojna na Ukrainie, upadek trzech hut, 20 proc. dostawców butelek zniknęło, ceny poszły do góry. Wcześniej covid, czyli zamknięcie pubów – miejsc sprzedaży piwa. Te sytuacje zdziesiątkowały branżę piwowarską, nawet koncerny miały problemy, a co dopiero browary rzemieślnicze.

– Czyli to nie był ordynarny skok na kasę, a po prostu nietrafiona inwestycja?
– Gdybym miał od początku intencję oszukania ludzi, nie zastawiłbym swojego prywatnego domu, w którym mieszkała moja rodzina. A gdybym poukrywał majątek, jak sugerują niektórzy, to po wyjściu z aresztu tyle byście mnie widzieli. Romanowski siedzi w Budapeszcie, a jest podejrzewany o sprzeniewierzenie milionów złotych z pieniędzy publicznych. Tymczasem moja spółka akurat do budżetu państwa płaciła dziesiątki milionów złotych w postaci akcyzy, stracili prywatni inwestorzy.

– Chyba mają prawo czuć się wyrolowani.
– Szczególnie skrzywdzeni czują się mali inwestorzy, którzy zainwestowali tysiąc czy kilka tysięcy. Ja ich dobrze rozumiem, bo to istotny dla nich wydatek, biorę to na klatę. Z kolei są też tacy, którzy włożyli milion czy kilka milionów, ale w zeznaniach mnie nie obciążyli. Lepiej rozumieją ryzyko związane z biznesem. Emocje tych „małych" inwestorów to główny składnik akcji wymierzonej we mnie.

– I co teraz z panem będzie?
– Dla mnie najważniejsze to wyjść jakoś z tego wszystkiego, nie dać się do końca zniszczyć. Gdy w końcu zostanę oskarżony – bo wciąż jestem tylko podejrzany, a więc w swego rodzaju zawieszeniu – to będę pokazywał, jak zostałem potraktowany przez organy i instytucje państwa. Oskarżony na pewno będę, może nawet skazany, bo inaczej dostałbym za duże odszkodowanie od państwa za tę akcję.

– Jaka największa nauka wypłynęła dla pana z odsiadki?
– Paradoksalnie, jako lewicowy liberał czy też liberalny lewicowiec muszę powiedzieć, że rodzina jest niesamowitą wartością w takim kryzysie. Tylko z rodziną można się kontaktować w areszcie, tylko rodzina może odwiedzać, wysyłać paczki i pieniądze. Jak ktoś jej nie ma, to jest w większej dupie, niż to zakłada sam fakt odsiadki.

– Jak trwoga, to do rodziny?
– Można tak powiedzieć.

Rozmawiał
ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

eprasa.pl 9bba2651f1

Obrońca poczętych odszedł do domu Pana

Nie płaczę po Strzemboszu

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zmarł Adam Strzembosz. Na żałobną okoliczność rozpruł się polityczny wór kondolencyjnej obfitości. „Adam Strzembosz, Pierwszy Sędzia Rzeczypospolitej, nie żyje. Twardo bronił Konstytucji i rządów prawa. »Są i będą w Polsce przyzwoici ludzie« – mówił w 2019 roku. Dawał tym przyzwoitym nadzieję, którą tak łatwo było wtedy utracić" – zaszlochał na platformie X premier Donald Tusk. „Miał swoje poglądy etyczne. Bardzo doświadczony w czasach komuny, stał się człowiekiem, który chciał zakopać wszystkie rowy, żeby nie było wojny polsko-polskiej" – skonstatował minister sprawiedliwości Waldemar Żurek, dodając, że zmarły był „często atakowany z różnych stron. Przez jednych za to, że był za mało radykalny, przez innych za to, że był zbyt radykalny"…

Pierwszy sędzia Rzeczypospolitej swoje prywatne sumienie próbował przekuć w uniwersalne prawo, strojąc się w piórka demokraty i jednocześnie paląc kobiety na stosie za chęć samodecydowania o sobie. Aktywny w dyskusjach etycznych i prawnych dotyczących ochrony życia poczętego, chętnie odgrywał rolę głosu eksperckiego na prawicową modłę.

Strzembosz był modelowym reprezentantem mansplainingu – nieproszonego, protekcjonalnego i deprecjonującego tłumaczenia kobietom rzeczywistości przez mężczyzn. W licznych wywiadach chętnie wykładał kobietom, że aborcja nie może być umieszczana w katalogu praw człowieka, możliwość świadomego zdecydowania się na to świadczenie medyczne nazywał „hańbą domniemaną prawnie", wreszcie namiętnie robił z obywatelek idiotki.

„Nie wiem, czy 17-letnia dziewczyna może w pełni ocenić następstwa przerwania ciąży" – mówił półtora roku temu w wywiadzie dla Katolickiej Agencji Informacyjnej. I dodawał: „Pomijam już, że ona po prostu może nie mieć więcej dzieci, gdyż aborcja w tym wieku stwarza takie ryzyko. Ale nie jest także w stanie przewidzieć tych cierpień psychicznych, których może doświadczyć w przyszłości. A jeśli chodzi o wyrzuty sumienia, to znam osoby, które nawet dostały rozgrzeszenie i odprawiły pokutę, ale mając ponad 60 lat, nie mogą powstrzymać się od łez, kiedy wspominają moment decyzji o przerwaniu ciąży"… Wzruszenie odbiera mi dziewictwo za każdym razem, kiedy słyszę o nieznajdującym oparcia w nauce micie o bezpłodności po aborcji czy syndromie aborcyjnym.

„Spójrzmy najpierw na język, jakim operują zwolennicy aborcji, jak mocno jest on zakłamany. Chciałbym zacząć od często powtarzanej tezy, że formujący się w kobiecie organizm jest częścią jej ciała. Nie jest to prawda. Jest to osobny człowiek, formujący się w niepowtarzalny sposób, mający własny, oryginalny i indywidualny kod genetyczny"; „nie istnieją żadne podstawy, wedle których da się wyznaczyć czas, do którego można dokonać aborcji, uważając, że nie jest to jeszcze człowiek" – tokował Strzembosz w tym samym wywiadzie. Najwyraźniej mając zwyczajnie w pompie koncept, że w dyskusji o aborcji kluczowa jest osoba w ciąży, bo to przede wszystkim jej prawa muszą być respektowane.

To ciężarna – a nie ustawiony w centrum argumentacji Strzembosza zlepek komórek – ma zagwarantowane zarówno w tak ukochanej przez profesora konstytucji, jak i w wiążących Polskę aktach prawa międzynarodowego, prawo do życia, prywatności i wolności od nieludzkiego traktowania. Wbrew watykańskiej i katojebliwej narracji zajście w ciążę nie sprawia, że kobieta przestaje być człowiekiem.

Adam Strzembosz wielokrotnie bronił tzw. „kompromisu aborcyjnego" z 1993 r. jako „zrównoważonego rozwiązania" – cokolwiek to znaczy, bo to wciąż uwłaczające dla kobiet wsadzanie politycznych i kościelnych łap w gacie. W wypowiedziach z lat 2017–2024 zaciekle wzywał do powrotu do zgniłej umowy i krytykował projekty liberalizujące aborcję jako „niemoralne i niekonstytucyjne". Żeby było mniej śmieszniej uważał, że referendum mogłoby zagwarantować trwale ochronę życia.

Decyzja o usunięciu niechcianego lokatora z macicy powinna pozostawać poza oceną i moralnością zarówno person pokroju profesora Strzembosza, jak i reszty społeczeństwa – bo jest to decyzja tylko i wyłącznie osoby posiadającej macicę, która zbiegiem seksualnego przypadku stała się ofiarą płodności.

W eksperckiej debacie o prawach człowieka nie ma miejsca na prywatne histerie i upodobania, które można sprowadzić do stwierdzenia, że dana osoba czegoś nie lubi, więc winno to być zakazane. Szczególnie wtedy, gdy rozmawiamy o pozbawieniu ponad połowy społeczeństwa prawa do decydowania o swoim ciele, zdrowiu i życiu.

Jako że w dupie mam kruchciane autorytety, nie uronię po Strzemboszu ani łzy.

IDALIA DUBICKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Mateusz Morawiecki to facet, który nie ukrywa, że świetnie się czuł w roli premiera i chętnie by do sprawowania tej funkcji powrócił. W związku z tym stara się trzymać jak najbliżej prezesa Kaczyńskiego, spijać słowa z jego ust oraz w lot odczytywać jego myśli i marzenia.

Teraz, jak wiadomo, prezes marzy o pogrążeniu lidera Konfy Sławomira Mentzena, i vice versa zresztą. Po tym, jak Mentzen powiedział w radiu: „Z Kaczyńskim dogadywać się nie zamierzam, bo nie jest to człowiek, z którym warto rozmawiać", Morawiecki poczuł się w obowiązku dopiec konfederacie. W tym celu posłużył się metodą typową dla wszystkich kanalii – donosem. Opublikował nagranie z fragmentem historycznego (w znaczeniu przeszłego, a nie znaczącego) przemówienia Mentzena. „Obsługuję firmy, które przywożą Ukraińców do Polski, to naprawdę jest w tym momencie dobry biznes, bo jest bardzo duże zapotrzebowanie na pracowników z Ukrainy. I to nie dlatego, że oni zarabiają jakoś bardzo mało, oni zarabiają coraz więcej. Często tyle, co Polacy. Tylko po prostu oni chcą pracować, a Polacy nie chcą pracować" – dawno temu prawił Mentzen. Na co dziś napisał Morawiecki: „Mentzen apeluje o zatrzymanie »ukrainizacji« Polski. No, chyba że »ukrainizować« ma firma, którą obsługuje jego kancelaria".

Kaczyński, który jak wszystkie kanalie uwielbia donosy, musiał być wniebowzięty.

Wagarowicz z czerwonym paskiem

Tym, czego najlepiej uczy polska szkoła, jest hipokryzja.

Polska szkoła oferuje młodym ludziom z fantazją niebywały komfort. W art. 42 ust. 2 ustawy Prawo oświatowe znajduje się próg 50 proc. nieusprawiedliwionych nieobecności w miesiącu, który wcale nie dyskwalifikuje ucznia z bycia uczniem. Można zatem opuścić co drugi dzień tak sobie i być uznanym za klasyfikowanego. W krajach o trochę bardziej choćby iluzorycznym szacunku do edukacji byłoby to nieprawdopodobne. U nas normalka.

Mniej znaczy lepiej

Co robi nauczyciel, gdy pół klasy nie przychodzi? Lekcja się sypie? Skądże. Im mniej gówniarzy, tym spokojniej, czyli mniej użerania się. Bo cicha akceptacja absencji sprzyja wygodzie nauczyciela.

Prawo stanowi, że statut szkoły musi określać termin i formę usprawiedliwiania nieobecności. Jaki to ma sens, skoro i tak pół roku można mieć to wszystko w poważaniu, siedząc wszędzie, tylko nie w szkole? I dopiero art. 44k ustawy oświatowej przewiduje, że poważne konsekwencje – jak brak egzaminu klasyfikacyjnego czy nieklasyfikacja – pojawiają się dopiero przy kolejnych 50 proc. absencji. Takie niby ustawowe ramy, a w praktyce – wygoda. Nauczyciel nie musi sprawdzać, nie musi się denerwować, kiedy nie ma połowy klasy.

W efekcie mamy szkołę, która oficjalnie mówi: „przyjdź, jeśli chcesz, ale i tak cię ocenimy, jeśli nie przyjdziesz". Czy to nie jest zachęta do legalnego wagarowania? System wszak dopuszcza, by co drugi dzień zniknąć i być traktowanym jak wzorowy uczeń.

Czy ktoś jednak powiedział, że system ma być sprawiedliwy? Nie – u nas ma być wygodny. Dla wagarowicza i dla nauczyciela. Efekt? Coraz młodsze dzieci rozumieją, że „skoro mi wolno, to po co przychodzić?". Mamy system, który uczy lenistwa, a nie wiedzy.

Ćwierćgłówek

Ale to się ponoć kończy. System lansujący obiboków postanowił podjąć rewolucyjny krok – zredukować ten luksus o połowę. Czyli już nie 50, ale 25 proc. nieusprawiedliwionych nieobecności w roku szkolnym. Cóż za odwaga legislacyjna! Cóż za radykalizm!

Skoro do tej pory uczeń mógł się pojawiać co drugi dzień i był traktowany jak uczestnik życia edukacyjnego, to teraz – uwaga – będzie mógł nie pojawiać się tylko raz w tygodniu. Ministerstwo Edukacji Narodowej nazywa to rewolucją.

Wiceminister Katarzyna Lubnauer mówi wprost: „Nie może być tak, że uczeń chodzi do szkoły co drugi dzień i dalej jest klasyfikowany. Dlatego wprowadzamy limit 25 proc. nieobecności w skali roku". I dalej tłumaczy, że chodzi o mobilizację, o walkę z rosnącym problemem wagarów, o odbudowanie autorytetu szkoły. Ale w gruncie rzeczy wszystko sprowadza się do bardzo polskiego podejścia: nie chcemy nikogo karać, nie chcemy się z nikim konfrontować – po prostu ustawiamy nowe widełki, trochę ciaśniejsze, i udajemy, że to załatwia sprawę.

Bo przecież wszystko zostaje po staremu. Rodzic, który usprawiedliwia nieobecności dziecka, nadal będzie miał władztwo absolutne. Wystarczy wpisać cokolwiek – „ból brzucha", „katar", „zły humor" – i szkoła nie ma prawa tego podważyć. Co więcej, MEN z dumą ogłasza, że nie będzie żadnych kar finansowych dla rodziców. „Nie ma takich zmian. Nie wiem, skąd się wzięła ta plotka" – mówi Lubnauer, z uśmiechem rozbrajając cały potencjał wychowawczy systemu. Bo przecież nie chodzi o to, żeby cokolwiek egzekwować. Chodzi o to, żeby wyglądało, że coś się robi.

Owszem, zmienia się artykuł 42 ustawy – teraz próg 25 proc. będzie graniczny. Dopiero przy jego przekroczeniu uczeń może być nieklasyfikowany. Czyli przez dwa miesiące w roku można spokojnie spać do południa i nikt nie ma prawa się czepiać. Do tego dochodzi zapis, że uczeń nieklasyfikowany z powodu frekwencji traci prawo do egzaminu klasyfikacyjnego – jeśli oczywiście nie znajdzie się życzliwa pani dyrektor, która w drodze wyjątku pozwoli na egzamin, „bo przecież zdolny, tylko trudny ma okres".

A jeśli rodzice nie zadbają o to, by dziecko chodziło do szkoły? Owszem, mogą dostać karę – ale tylko jeśli będą spełnione wszystkie formalne warunki. Najpierw musi być upomnienie, potem wniosek dyrektora do gminy, potem postępowanie egzekucyjne. I dopiero wtedy można nałożyć grzywnę – jednorazowo do 10 tys. zł, łącznie – do 50 tys. W praktyce tych kar nie nakłada prawie nikt. Gminy nie chcą konfliktów. Dyrektorzy nie mają czasu. Urzędnicy się boją. Bo łatwiej nie widzieć niż egzekwować.

Ale nawet ten nowy system premiuje tych, których nie ma. Bo im mniej ucznia w szkole, tym mniej problemów. Nie trzeba go uczyć. Nie trzeba z nim rozmawiać. Nie trzeba tłumaczyć. A kiedy się pojawi? Wystarczy jeden sprawdzian, jeden zaliczony projekt – i już można go klasyfikować. Z głowy.

Świadectwo w chmurze

Tymczasem w Wielkiej Brytanii – pięć dni nieusprawiedliwionej absencji i… ciach, 60 funtów kary za każdy dzień kolejny. Skoordynowana i bolesna strategia, absolutny brak sentymentów. Uczniowie i rodzice wiedzą: system się nie zawaha – ma być obecność, a nie gabinetowe kompromisy.

W Holandii z kolei standardem jest grzywna około 100 euro. Jeden dzień wagarów? Już sięgasz do portfela. Nie ma tłumaczenia. Po prostu nieusprawiedliwiona absencja równa się kara.

W Niemczech to już w ogóle festiwal mandatów, bo każdy land ma inaczej. Bawaria, Berlin, Nadrenia Północna-Westfalia – mówimy o sumach rzędu od tysiąca do dwóch i pół tysiąca euro za każde dziecko. Jeśli kilkoro z rodziny – to się sumuje. Kochasz dziecko? To naucz je chodzić do szkoły jak należy, albo płać.

A u nas? Blisko 4 tys. uczniów w Polsce kompletnie nie realizuje obowiązku szkolnego. Zero nauki, zero frekwencji, zero efektu. A co robi system? Milczy. Niektóre gminy machają ręką: „Niech się uczy w domu, niech rodzic mówi, że to zdalnie". Tylko że zdalnie też często ucznia nie ma. I nikt nie egzekwuje.

Tak w Polsce uczymy młodych ludzi wielu przydatnych cech. I dlatego w badaniu PISA z 2022 r. młodzi Polacy znaleźli się na końcu stawki pod względem wytrwałości. Umiejętność kontynuowania zadania, nawet gdy robi się trudniejsze – tylko 47 proc. badanych polskich uczniów zaznaczyło, że wytrwają, gdy zadania się komplikują. Mniej niż połowa. Polscy uczniowie jeszcze kilka lat temu byli w czołówce rankingów oświatowych, ale reformy cofające, pandemia i chaos spowodowały, że w matematyce, czytaniu i naukach przyrodniczych tracimy w stosunku do tych, którzy kiedyś radzili sobie gorzej od nas.

Nie bez wpływu na to jest fenomen edukacji domowej. W 2023 r. 42 329 uczniów uczyło się w domu – to ponad dwukrotny wzrost przez trzy lata! Szacunki mówią, że dziś liczba ta przekracza 50 tys. Ale skoro system pozwala nie spotykać nauczyciela marzącego, by uwalić ucznia, to lepiej nauczyć się samemu. Młodzi ludzie uciekają więc ze szkoły, która nie oferuje ani wymogu, ani wsparcia, tylko pustą obietnicę obecności.

Jak tu mówić o edukacji jako poważnej misji, skoro tolerujemy lipę, wyniki lecą w dół, a system staje się maratonem dla tych, którzy o ile nie skończą w dziecięcym psychiatryku, to skończą szkołę nie dzięki, ale wbrew temu, co oferuje ta instytucja? Nie wierzycie? Pogadajcie z każdym studentem i dowiecie się od niego, że najszczęśliwszym dniem było zakończenie szkoły. Bo dopiero od tego momentu można się było zacząć czegoś uczyć. Ale MEN tego nie wie. Dla niego liczą się statystyki i wiara w to, że kolejne dobrze sprzedane w mediach, ale nic nieznaczące rewolucje uczynią polską szkołę lepszą.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl 9bba2651f1

Dom Zły

Jeśli peeselowiec nie wytrzymuje pijackich imprez, to musi być naprawdę bardzo źle.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Kto pije i płaci, honoru nie traci" – mawiał senator Henryk Kanicki.

Henio zasłynął z balangowego stylu życia, kiedy był działaczem PSL i senatorem tej popierającej polski przemysł spirytusowy partii. Kiedy skłócił się z prominentem PSL, marszałkiem Adamem Struzikiem, wynajął orkiestrę. Aby w nocy przybyła do sejmowego Domu Poselskiego i zagrała „Marsza żałobnego" Fryderyka Chopina. Pod drzwiami pokoju ze śpiącym tam Struzikiem.

Za kratą

Kiedy byłem posłem sejmu, odwiedziłem kilkanaście parlamentów na świecie. W każdym widziałem dwa najważniejsze miejsca. Parlamentarną knajpę i salę plenarną.

Na sali plenarnej parlamentarzyści zwykle mówią to, co wcześniej ustalili w knajpie. Podczas zwykle zakrapianych politycznych knowań i konsultacji.

Alkohol zawsze był smarem demokracji. Zwłaszcza parlamentarnej. Milczkom daje dar wymowy, nieśmiałym odwagę w nawiązywaniu kontaktów, z obłudników wyciska prawdę. Oczywiście pity z kulturalnym umiarem.

W wielu parlamentach oprócz knajp i sal plenarnych bywa też trzecie szczególne miejsce: hotel dla wybrańców narodu. Mieszkają w nim parlamentarzyści podczas parlamentarnych posiedzeń.

Pamiętam wizytę w parlamencie belgijskim. Pokazywano nam terytorium izby poselskiej, terytoria senatu i hotelu parlamentarnego. Na tereny poselskie i senatorskie dziennikarze mieli prawo wstępu zawsze i o każdej porze.

Teren hotelu poselskiego był dla mediów zamknięty. Aby parlamentarzyści czuli się w nim jak w domu.

Polski Dom Poselski to hotel z zapleczem usługowo-gastronomicznym. Pokoje są tam małe. Ich wyposażenie spełnia poziom europejskiego hotelu dwugwiazdkowego. W pokojach narożnych latem jest gorąco, zimą zimno. Taki mamy klimat. Dlatego dostają je debiutujący parlamentarzyści.

W gmachu Domu Poselskiego parlamentarzyści mogą skorzystać z fryzjera, sklepu spożywczego, sklepu z pamiątkami, usług bankowych, agencji z biletami lotniczymi i kolejowymi, bufetu z kanapkami, kiosku z prezerwatywami i kaplicy z katolickim bogiem.

Kiedyś była też księgarnia, ale zamknięto ją z braku klienteli. Kiedyś w spożywczaku były napoje alkoholowe. Ale katoliccy obłudnicy zakazali ich. Teraz parlamentarzyści muszą wychodzić po nie na miasto, kupować na zapas. Ale dzięki temu robią dodatkowe kroki i spalają przyjęte z alkoholem kalorie. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Aby parlamentarzyści nie pili w knajpach na mieście, nie budzili tym zgorszenia zakłamanego polskiego społeczeństwa, nie bywali nagrywani przez wszechobecne smartfony, wyznaczono im miejsca spożycia na terenie ich Domu Poselskiego. W sejmowej restauracji, gdzie jedzenie jest tanie i nijakie. Bez alkoholu niestrawne. Oraz w tzw. barze za kratą.

To historyczna i kultowa już pijalnia. Zwana tak od wielkiej kraty, która niczym ściana odgradza bar od korytarzy prowadzących do restauracji i hotelu parlamentarnego. Krata daje poczucie intymności spożywania trunków i jednocześnie pozwala na obserwację innych parlamentarzystów podążających korytarzami.

Widok parlamentarzysty spoglądającego zza kraty w dzisiejszych czasach staje się metaforą końca kariery niejednego z nich.

Patoparlamentarka

Niedawno stan poselski zelektryzowała informacja, że komendant Straży Marszałkowskiej, podległej panu marszałkowi Szymonowi Hołowni, zakazał wstępu do sejmowego baru za kratą dla gości posłów.

„Decyzją komendanta Straży Marszałkowskiej prawo wstępu do tego punktu zostało ograniczone wyłącznie do posłów, senatorów, posłów do Parlamentu Europejskiego oraz byłych parlamentarzystów" – potwierdziło informacje Biuro Obsługi Medialnej Kancelarii Sejmu dziennikarzom „Rzeczpospolitej".

Stało się tak z powodu licznych pijackich ekscesów w Domu Poselskim.

W maju pan poseł Dariusz Matecki z PiS wdał się w bójkę z gwiazdą serialu „M jak miłość" panem Jackiem Kopczyńskim, zaproszonym tam przez innych parlamentarzystów PiS. Podobno poszło o zdefiniowanie chujowego charakteru pana posła Zbigniewa Ziobry. Interweniowała – po czasie – Straż Marszałkowska. Dlatego trudno jest jednoznacznie ustalić przebieg zdarzenia. Zwłaszcza kto był pijany, a kto tylko zachowywał się, jakby był.

W sierpniu, po zaprzysiężeniu pana Karola Nawrockiego na prezydenta RP, grupa parlamentarzystów z PiS biesiadowała w restauracji sejmowej. Brylował pan poseł Dariusz Matecki. Głośno śpiewali piosenki, co już dowodzi ich nietrzeźwego stanu. Bo polski parlamentarzysta zwykle na trzeźwo śpiewać nie potrafi. Szczególnie głośno śpiewali kibolskie kuplety z refrenem: „Staszek piątka, Tomek dycha, a dwudziestka dla Giertycha".

Tekstowa „piątka" odnosiła się do pięciu lat pozbawienia wolności, na jakie został skazany senator KO Stanisław Gawłowski w związku z aferą melioracyjną. „Dycha" to kara, jaka groziła byłemu marszałkowi senatu Tomaszowi Grodzkiemu za rzekome łapownictwo, zanim prokuratura umorzyła postępowanie. A „dwudziestka" to kara, jaką posłowie PiS chcieliby wymierzyć panu posłowi KO Romanowi Giertychowi za rzekomy udział w aferze Polnordu.

Piosenka pewnie przeszłaby bez echa, gdyby nie obecność pana senatora Tomasza Grodzkiego. W jego obronie stanęły senatorki i senatorowie koalicji rządzącej. „Pijana tłuszcza pod przywództwem Mateckiego, wspieranego przez Łukasza Mejzę, zaatakowała rynsztokowymi wulgaryzmami senatorki koalicji 15 października. Rozbawieni, prowokowali i zaczepiali, wyzywali i obrażali. Były wulgarne przyśpiewki. Bohaterowie ryczeli »sp..laj« do kobiet. Mało brakowało, a doszłoby do rękoczynów" – napisał na Facebooku koalicyjny pan senator Wadim Tyszkiewicz.

To nie było jedyne spięcie pana senatora Tyszkiewicza z panem posłem Mejzą w tym roku.

„Do bufetu z jedzeniem, przy którym staliśmy wraz z żoną Agnieszką Tyszkiewicz, podszedł poseł Łukasz Mejza, trzymając dwu–trzyletnie dziecko na ręku. Prowokacyjnie zaczął zaczepiać mnie i moją żonę, używając słów obelżywych i zwrotów" – napisał pan senator Tyszkiewicz, cytując treść wulgarnych propozycji seksualnych, jakie pan poseł Mejza miał składać żonie pana senatora.

Inaczej przebieg zdarzenia relacjonował pan poseł Łukasz Mejza. Jego zdaniem pan senator Tyszkiewicz wielokrotnie w ostatnich latach próbował go sprowokować, wykonując gest plucia pod nogi. Wtedy też miało zacząć się od senatorskiej zaczepki.

Trzeba przypomnieć, że obaj parlamentarzyści znają się dobrze. Przed laty to pan senator Tyszkiewicz promował karierę pana posła Mejzy.

Minister rolnictwa z PSL pan poseł Stefan Krajewski wyznał w Radiu ZET: „W ostatnim czasie pojawili się patoposłowie. Poprzednią kadencję mieszkałem w hotelu, nie było takich sytuacji. Spotykali się posłowie z różnych opcji, wypili razem herbatę czy lampkę wina, porozmawiali. Czasem to były trudne rozmowy. Ale dzisiaj wszczynanie burd, wyzwiska, które lecą... Miałem dość, wyprowadziłem się".

Jeśli parlamentarzysta z PSL nie wytrzymuje pijackich imprez, to musi być w tym Domu Poselskim już naprawdę bardzo źle.

Prohibicja na niby

Pan marszałek sejmu Szymon Hołownia zapowiedział przygotowanie prac nad ustawą o badaniu posłów alkomatem. Impulsem była wizyta pijanego pana posła Ryszarda Wilka z Konfederacji na sali plenarnej. Zapewne skończy się to na obietnicach, bo pan marszałek ogłosił też swą wyprowadzkę z tego „szamba", czyli ze sfery polityki.

Goście państwa parlamentarzystów zapewne nadal będą pili w barze za kratą alkohol, tylko ukryty w coli lub soczkach. Niezdrowo, bo napoje zawierające cukier powodują otyłość i cukrzycę nr 2. Ewentualna interwencja Straży Marszałkowskiej sprawi, że chlańsko przeniesie się do hotelowych pokoi. Gdzie zawsze chlało się, chleje się i chlać się będzie.

Obecna patoparlamentarka nie bierze się przecież jedynie z możliwości picia napojów alkoholowych w Domu Poselskim.

Nie pierwszy raz parlamentarzyści się tam upijają. Nie pierwszy raz dają sobie po twarzyczce po pijaku. Ale poprzednio zawsze to były jednorazowe wyskoki. Zwykle kończące się przeprosinami.

Teraz mamy już cykliczne burdy wywoływane przez parlamentarzystów o kibolskim stylu bycia. Zwykle z obecnością dwójki panów posłów z PiS: Dariusza Mateckiego i Łukasza Mejzy.

Oni prawa do baru za kratą nie utracili i do 2027 r. nie utracą.

Kiedy byłem posłem, z lekkim zdumieniem zauważyłem, że wśród młodszego pokolenia parlamentarzystów kultura picia białej wódki łączona jest z – a nawet wypierana – kulturą „białych kresek". Wciąganych parlamentarnymi noskami.

Obserwując relacje z parlamentarnych ekscesów w Domu Poselskim, mój dziennikarski nos podpowiada, że być może zadziałała wtedy nie tylko mieszanka ciał parlamentarnych i alkoholu.

Może lepiej badać parlamentarzystów, czy nie zażywają substancji narkotycznych?

PIOTR GADZINOWSKI

SŁOWO CZERWONE

Oni

Po cholerę nam uczeni?

Aktorka o nazwie Wieniawa powiedziała, że bieda to stan umysłu. Agata Młynarska narzekała na obecność przedstawicieli klasy ludowej w dresach na jej jaśniepańskich plażach, a już szczyt wszystkiego to wypowiedź naszej noblistki Tokarczuk, która zapytana, czy chce, by jej literatura trafiła pod strzechy, odrzekła, że literatura nie jest dla idiotów. Wiadomo, że nikt już nie mieszka pod strzechą, 80 proc. Polaków ma maturę. Ale wciąż lud to banda idiotów.

Pogarda wobec ludu sprawiła, że upokorzeni nadstawili ucha skrajnej prawicy, która dała im łatwy powód do dumy. Żeby być dumnym, należało urodzić się w Polsce. Polak jest lepszy od innych z tego prostego powodu, że jest Polakiem. Kiedyś inteligencja polska marzyła o ludu zbawieniu, o jego wydźwignięciu. Wielkie rzesze siłaczek i Judymów szły w lud, wielcy polscy pisarze opisywali ich pełną poświęcenia walkę o emancypację tych ze społecznych nizin.

Prawicowa kołtuneria robi wszystko, by ten lud ogłupić. A nawet otumanić. Jednoczy ich nie tylko wrogość do obcych, ale i niewiara w naukę. Naukę zastępuje wiedza z YouTube'a. Jeżeli jakiś oszołom głosi, że covidu nie było, a te wszystkie zgony wynikają z tego, że rzekomo zakażonych zamordowano, wciskając ich pod respiratory – to tak musiało być, zwłaszcza że oszołom ma miliony wyświetleń, a naukowiec, który próbuje dla dobra ludzkości te brednie zmiażdżyć siłą naukowych argumentów, nie ma racji, bo prawie się nie klika.

Jeden z moich znajomych opowiadał mi kiedyś, że samoloty linii pasażerskich rozsiewają nad osiedlami ludzkimi roundup, silny i bardzo szkodliwy środek chwastobójczy. Kiedy zapytałem, dlaczego miałyby to robić, odrzekł z tajemniczą miną: „Ty mi powiedz!". Człowiek ten był w dodatku znachorem i leczył wszystkie choroby, jak leci, dużą ilością soli.

Prawicowych kretynów łączy wiara, że klimat się nie ociepla, a jeżeli się ociepla, to działalność człowieka nie ma z tym nic wspólnego. Ludzie pośród konfliktów i walk lubią dla odmiany usłyszeć, że im nic i nikt nie grozi.

Ludzie nauki, inteligenci przestali się liczyć. Przegrali z takimi, co kiedyś na jarmarkach sprzedawali cudowny specyfik przeciw łysieniu, a teraz mają przed sobą cały świat i za pomocą internetu docierają pod każdą strzechę. Teraz byle dureń wyposażony w smartfona udziela porad zdrowotnych czy prawnych, choć na jednym ani drugim się nie zna. Nie musi. Ma internet. Odpala komórkę i doradza z pełną powagi miną eksperta. Przy braku inteligencji wrodzonej odpala sztuczną i gdyby ta metoda coś dawała, trzeba by zamknąć wszystkie szkoły z wyjątkiem kursów internetowych.

Degradacja wiedzy w opinii publicznej sprawia, że brak wykształcenia nie przeszkadza w robieniu kariery politycznej. Coraz powszechniejsze kupowanie wiedzy zamiast jej nabywania poprzez uczenie się jeszcze bardziej degraduje naukę. Dlatego takie Collegium Humanum to coś więcej niż zwykła afera. To wystawienie na pośmiewisko wszystkich akademików.

Doszło do tego, że zwolennicy teorii spisku powszechnego nie muszą nazywać wroga narodu polskiego, a nawet ludzkości. To są „oni". Przez nich pada deszcz albo przeciwnie, „oni" powodują powodzie. Gusła i wiarę w złe siły, demony, strzygi czy topielice zastępują gusła współczesne. Oni rozsiewają truciznę. I oni sprawiają, że nasze dzieci nie przechodzą do następnej klasy.

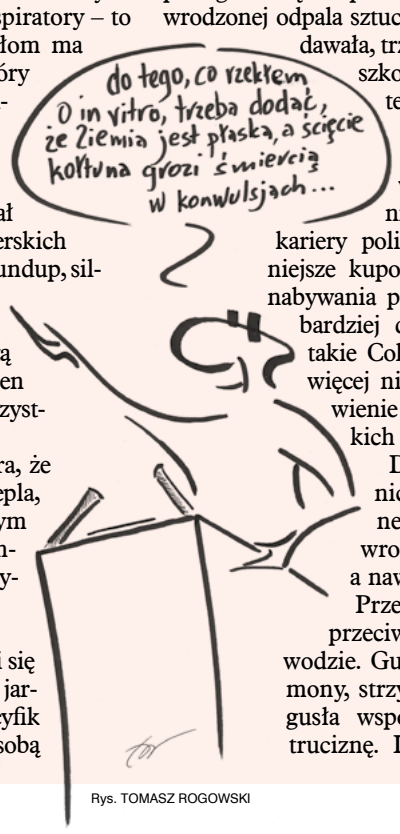

Rys. TOMASZ ROGOWSKI

Z przedstawicielami skrajnej prawicy coraz trudniej prowadzić jakąś racjonalną debatę. Bo taki cwaniak nie zamierza odpowiadać na wasze argumenty. On będzie puszczał do publiki oko i dawał znać, że to wszystko to ściema, bo debatą sterują „oni" z tylnego siedzenia. Wystarczy, że powiedzą, że nie jesteś nasz, bo popierasz politykę klimatyczną, i przestają cię słuchać. A zaczynają oklaskiwać gościa, co ciągle robił do was oko i dawał do zrozumienia, że „oni" sterują światem i trzeba się przed „onymi" bronić, np. odrzucając medycynę czy naukę o klimacie.

Dość dyskusjów, czas na czyny – powie wódz. I trzeba będzie wziąć nogi za pas.

Na odchodnym chciałoby się Nawrockiemu zadać kilka prostych pytań. Zacząłbym od tego o kształt Ziemi. Panie prezydencie, ona aby na pewno jest okrągła?

I czy Amerykanie wylądowali na Księżycu? Kto stoi za śmiercią rzekomych ofiar rzekomego covidu?

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 9bba2651f1

Biedna Wieniawa

Skąd się biorą niebogaci?

Piękna i bogata Julia Wieniawa podzieliła się ze światem swoją wiarą w siebie i w teorię mówiącą, że „bieda to stan umysłu” – czyli że jest coś takiego jak mentalność biedaka, zakleszczająca go w permanentnym niedostatku, oraz mentalność człowieka sukcesu, która sprawia, że powodzenie i pieniądze same do niego idą. Gdyby powiedział to ktoś mniej atrakcyjny, nikt nie zwróciłby na to uwagi, lecz celebrytka to co innego. Internet zapłonął. Głównie świętym oburzeniem i szyderstwem.

Nie byłbym taki surowy w ocenach. Klisza, którą z takim przekonaniem wygłosiła, nie jest szczególnie mądra i na pewno jest wkurzająca, lecz trzeba przyznać, że ktoś taki jak popularna aktorka na ogół zdaje sobie sprawę, iż wypowiadanie takich sądów jest ryzykowne. Dlatego przypuszczam, że pani Wieniawa wiedziała, co robi, i jej średnio mądre wyznanie było mimo wszystko aktem odwagi.

Skoro jednakże temat został z takim przytupem wywołany na publiczną scenę, to warto odnieść się do niego w perspektywie etycznej. Sprawa jest bowiem moralnie podejrzana. Amerykanie już w XIX w. wytworzyli kulturę gloryfikacji kapitalizmu i rywalizacji, powołując się na dzielność i pracowitość amerykańskich pionierów, dla których nie było nic niemożliwego. Powstała w ten sposób dziwna, wspierająca rynkową „wolną amerykankę” ideologia sukcesu, dobrze komponująca się z neoprotestanckim entuzjazmem. Żarliwcy modlili się i śpiewali, wierząc, że nastrój ekstazy w jakiś sposób napędza czy przyciąga boże łaski. Trzeba się na nie po prostu otworzyć. Analogicznie do tego propagatorzy świeckiej ideologii tzw. pozytywnego myślenia (to termin jeszcze przedwojenny!), głosili, że bogactwo i powodzenie przychodzą do tych, którzy w nie wierzą i się na nie otwierają – zupełnie tak jak na bożą łaskę. Zresztą, jak sądzą protestanci, jedno z drugim jest powiązane – komu Bóg daje zarobić, tego najwidoczniej lubi i szykuje dla niego miejsce w raju. Trzeba więc tak kochać sukces, tak się napawać wyobrażeniami o nim, tak mocno wierzyć w siebie i w swoje zdolności, żeby całe nasze działanie było jak natchnione. Czerpiąc siłę z wewnętrznej wiary w sukces i w „powołanie” do niego, uzyskuje się jak najbardziej realną sprawczość. Kto bardzo pragnie być bogaty, ten bogaty będzie. Kto bardzo pragnie wejść do Królestwa Niebieskiego, ten wejdzie.

Psychologicznie biorąc, jest w tym trochę racji. Pełnym energii optymistom łatwiej przychodzi uczenie się i ciężka praca, a wiara we własne możliwości uodparnia na porażki i pomaga odbudować się po niepowodzeniu. I odwrotnie – depresyjny nastrój, niska samoocena i życiowa bierność sprzyjają niepowodzeniom życiowym i utrudniają podnoszenie się z życiowych klęsk. Rzecz jasna, bieda nie jest żadnym tam „stanem umysłu”, niemniej jednak ludzie depresyjni zwykle łatwiej popadają w problemy materialne, a gdy już je mają, to stres i koncentracja na niedostatku i jego codziennych konsekwencjach zawężają horyzonty myślowe i utrudniają zaplanowanie i przeprowadzenie poważnych zmian we własnym życiu. Dlatego warto wspierać ludzi ubogich w sposób, jak to się mówi, „proaktywny”, na przykład umożliwiając im zdobywanie nowych kwalifikacji albo pożyczając na korzystnych warunkach niewielkie kwoty w celu zorganizowania sobie własnego warsztatu pracy czy małego biznesu.

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Natomiast zawstydzanie ludzi biednych, wmawianie im, że sami są sobie winni i że powinni „wziąć się w garść”, jest grubo nie fair. Owszem, bywa, że człowiek sam sobie jest winien. Pije, bije, leni się. Nie każda bieda jest niewinna. Ale bywa – i to nierzadko – całkiem na odwrót. Na przykład tak, że ktoś od małego doznawał przemocy i sponiewierania, a w dodatku nie miał żadnej szansy, aby się z tego wszystkiego wyrwać. Bo choć wielu w naszych czasach naprawdę dostaje w młodości szansę, to jednak wciąż są tacy, do których „pekaes nie dojechał”. Nie mogli kontynuować nauki, musieli ciężko pracować od nastolatka, musieli opiekować się kimś chorym albo popadli w złe towarzystwo, stając się wkrótce takim samym złym towarzystwem dla innych. A tak naprawdę to kwestia winy jest płynna i niejasna. Bo co zrobić, jeśli należy się do mniej inteligentnej i mniej uzdolnionej części populacji? Czy człowiek odpowiada za to, jaki się urodził? No, chyba nie. Ale nie znaczy to jeszcze, że należy mu się odszkodowanie za to, że jest mało inteligentny albo mało uzdolniony.

A może jednak w jakimś sensie „odszkodowanie” się należy? Lewica uważa, że tak. Twierdzi – tak samo jak liberałowie – że wszyscy powinni dostać swoją szansę i że te szanse dla młodych ludzi powinny być wyrównane. Stąd powszechne szkolnictwo, darmowe studia i programy społeczne ułatwiające start w dorosłość. Dodatkowo jednak lewica domaga się ustalenia pewnego minimum dobrobytu gwarantowanego każdemu, proporcjonalnie do zamożności społeczeństwa. Może nie tytułem „odszkodowania”, lecz na podstawie moralnego imperatywu społecznej solidarności, zgodnie z którym każdemu członkowi społeczności, niezależnie od tego, kim jest, należy się pewien udział we wspólnym, wspólnie wypracowanym w ciągu wielu pokoleń dobrobycie. Po prostu liczy się to, że jest jednym albo jedną z nas – współobywatelem, a nawet (biorąc pod uwagę wspólnotę losu całej ludzkości) po prostu człowiekiem.

Imperatyw solidarności nie wisi samotnie w przestrzeni etycznej, gdyż wspiera się bardzo silnie z drugim, a mianowicie z imperatywem poszanowania dla godności każdego człowieka. Bieda sama w sobie nie odbiera człowiekowi godności, bo przecież nikogo nie hańbi to, że brak mu środków materialnych. Hańbią tylko złe uczynki. Natomiast

w społeczeństwie, w którym brakuje solidarności z biednymi, przez co stają się oni niemalże wyrzutkami funkcjonującymi na marginesie zamożnej mieszczańskiej wspólnoty, ich godność jest przez to wykluczenie szargana w taki sposób, jak gdyby byli czymś zhańbieni.

I na to się godzić nie powinniśmy.

Wbrew pozorom nie jest łatwo wyzbyć się uprzedzeń w stosunku do ludzi biednych. Często myślimy o nich jako niezaradnych albo odwrotnie – cwanych i roszczeniowych. I może tacy bywają. Najczęściej jednak są po prostu całkiem zwyczajni, a tylko inne otaczają ich rekwizyty. Sam w czasach studenckich wyżerałem pozostałości po obiadkach umartwiających się zakonnic (albowiem studiowałem na KUL) i jakoś ani trochę mi się korona od tego na łbie nie przekrzywiła, ani chęć do kariery i zarabiania we mnie nie wygasła. Biedę traktowałem z całą naturalnością, tak samo jak później zamożność. Może największym głupstwem w powiedzeniu pani Wieniawy nie jest to, że daje asumpt do obwiniania ludzi za to, że są biedni, lecz to, że widzi jakąś wielką różnicę między biednymi i zamożnymi. A to nieprawda. Bieda po prostu się przydarza, tak jak choroba. Można być biednym, potem bogatym, a potem znowu biednym. I wciąż mieć ten sam „stan umysłu”.

JAN HARTMAN

Żyjemy w czarnej dziurze...

Bajki dla myślących

I to jest dobra wiadomość...

Od dawna towarzyszy mi przekonanie, że żyjąca w kapitalizmie ludzkość „jest w czarnej dziurze”. Tym bardziej się w niej zagłębiamy, im więcej kasy kierujemy na zbrojenia (główne źródło dochodu finansjery), a mniej na naukę i edukację. Polski rząd przoduje w tej samobójczej polityce. W przyszłorocznym budżecie zaplanowano rekordowe wydatki na obronność, ale zaledwie ułamek procenta stanowią wydatki na prace badawczo-rozwojowe. Oto neoliberalna ideologia w praktyce! Wiadomo. Jeśli naszej cywilizacji nie zniszczy wojna, to zniszczą ją ludzka chciwość i głupota. Świat zmierza ku przepaści nawet bez wojen. Kapitalistyczny smok zionie dwutlenkiem węgla i rozpala Ziemię. Giną gatunki roślin i zwierząt. Jeśli tak, to i ludzkości zapewne zagłada nie ominie.

Tak, wiem. Z indywidualnego punktu widzenia odległa perspektywa kolapsu ludzkości smuci, ale raczej nie doprowadza do rozpaczy. Bardziej od tej, raczej odległej perspektywy, przerażają trwające i nadchodzące niechybnie wojny, głód i epidemie. Ale jedyne, co może nas uratować, to ludzki rozum – o ile jest. W polityce brakuje mi go dość radykalnie. Ale na szczęście istnieje nauka. Gdy czytamy o osiągnięciach nauki, często brzmi to jak bajka. Dziś opowiem wam dwie takie naukowe bajki.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Pierwsza naukowa bajka jest taka: polski naukowiec

prof. Nikodem Popławski stawia hipotezę, iż cały nasz Wszechświat znajduje się wewnątrz czarnej dziury. Nie tylko mnie spodobała się ta hipoteza. „National Geographic” i „Science” zaliczyły teorię Popławskiego do dziesięciu największych odkryć roku.

Prof. Popławski dowodzi matematycznie oraz na podstawie dotychczasowych odkryć hipotezę, że każda czarna dziura zawiera w sobie nowy Wszechświat. Znamy teorię Wielkiego Wybuchu, która mówi o początku czasu, przestrzeni i całej materii. To fundament współczesnej kosmologii, ale hipoteza naszego naukowca sugeruje, że ta wiedza jest niekompletna. Nie będę was przekonywać do jego teorii ani jej wyjaśniać – zainteresowani to zapewne sprawdzą. Chcę natomiast powiedzieć, że nawet jeśli jakaś hipoteza brzmi jak science fiction i na pierwszy rzut oka wydawać się może szaleństwem, to często okazuje się kluczem do rozwiązania największych zagadek istnienia. W tym przypadku dalsze badania mogą doprowadzić do odkrycia „Świętego Graala” współczesnej fizyki – to jest integracji teorii kwantowej z kosmologią.

Pewnie wszyscy domyślamy się, że urodzony i wykształcony w Polsce profesor Popławski nie jest pracownikiem naukowym którejś z polskich instytucji naukowych, a pracuje dla University of New Haven w USA.

Nasi politycy mają gdzieś takie „niepraktyczne” teorie i badania. Myślę, że hipoteza Popławskiego ani inne badania, które dotyczą natury Wszechświata, nie powstrzymają trwających i nadchodzących wojen ani nie uchronią ludzi od chorób i biedy, ale mogą okazać się zbawienne w perspektywie czasu dla ludzkiej cywilizacji.

Druga naukowa bajka brzmi tak: tegoroczna Nagroda Nobla w dziedzinie chemii została przyznana trzem naukowcom za opracowanie szkieletów metalo-organicznych (MOF), które są nowatorską klasą porowatych materiałów. Szkielety metalo-organiczne są często opisywane jako „mikroskopijne gąbki” lub „molekularne hotele” dzięki swojej unikalnej budowie – gdzie jony metali są połączone organicznymi „mostami”, tworząc sieć pełną tuneli i pustek. Mogą one przechowywać, oddzielać lub transportować inne cząsteczki. Ich największą zaletą jest możliwość precyzyjnego projektowania na poziomie molekularnym.

Praktyczne zastosowania tego wynalazku mogą być ogromne. MOF-y mogą być używane do wychwytywania dwutlenku węgla z atmosfery lub gazów odlotowych z fabryk. Mogą także usuwać z wody niebezpieczne substancje czy śladowe ilości farmaceutyków. Mogą też służyć do pozyskiwania wody pitnej z pustynnego powietrza. Specjalne MOF-y absorbują parę wodną w nocy, a pod wpływem ciepła słonecznego w dzień uwalniają ją w postaci czystej wody. Są także badane jako bezpieczne i wydajne materiały do magazynowania wodoru w ogniwach paliwowych, co jest kluczowe dla rozwoju zeroemisyjnego transportu. Mogą też działać jako wysoce wydajne katalizatory w reakcjach chemicznych, np. do przetwarzania CO_2 na pożyteczne chemikalia. W medycynie trwają prace nad wykorzystaniem ich jako precyzyjnych „nośników leków”, które uwalniałyby substancję czynną bezpośrednio w chorym miejscu. To ogrom niezbędnych ludziom już dziś zastosowań.

Oto fakty, o których chciałoby się powiedzieć, że są „z naszej bajki”. Jednak nie wszystkie Nagrody Nobla z niej pochodzą. Jak choćby tegoroczna Pokojowa Nagroda Nobla dla liderki wenezuelskiej opozycji Marii Coriny Machado, popleczniczki USA i amerykańskiej ekonomicznej dominacji. Ale ta nagroda nie ma związku ani z nauką, ani z gruntowną wiedzą o społeczeństwie – jest polityczna. Na pocieszenie można jedynie powiedzieć, że mogło być gorzej, gdyby przyznali Nobla Trumpowi.

Obie naukowe bajki, które tu przywołałam, pokazują moim zdaniem wyraziście, jak bardzo nasi politycy są dalecy od bajki. Mają gdzieś nie tylko teoretyczny rozwój nauki o Wszechświecie, ale także rozwój nauki w bardzo praktycznych dziedzinach. Mają w dupie dobro obywateli, ograniczając finansowanie nauki i uniemożliwiając jej rozwój. Faktycznie, jeśli nie żyjemy w „czarnej dziurze”, to na pewno jesteśmy w takiejż dupie, dopóki nie pozbędziemy się politycznych pasożytów.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 9bba2651f1

Moje maleństwo

Psy uwolnione z łańcuchów nadal będą miały właścicieli. Niestety.

Społeczeństwo kocha ludzi, którzy kochają zwierzęta. Głaszcze ich po głowach, śle serduszka w komentarzach i zbiera datki na karmę. Tacy ludzie to współcześni święci. Samarytanie z workiem żwirku na ramieniu. Wystarczy jednak uchylić drzwi mieszkań w Tarnobrzegu, Bytomiu czy Krakowie, by zobaczyć, jak dzięki tej miłości kot zaczyna zjadać kota.

Jak oni kochają

Tarnobrzeska historia miłości do zwierzaków to 30 kotów w jednym mieszkaniu. Bez jedzenia. Bez wody. Bez właścicielki, która wyjechała za granicę. Smród był nie do opisania. Kuwety, a dokładnie dwie, nie spełniały już nawet roli dekoracyjnej. Z relacji wolontariuszek wynikało, że zwierzęta rzucały się na karmę z taką desperacją, jakby od lat były na głodówce.

Warto dodać, że kobieta, która te zwierzęta porzuciła, miała też córkę. Czternastoletnią. Dziewczynka wylądowała w domu dziecka, a jej matka nadal jest nieuchwytna. Miłość do kotów tak ją porwała, że nie zauważyła, jak zaniedbuje własne dziecko. A może zauważyła. Tylko że na czternastoletnie dziewczątka nie ma zbiórek i lajków.

W Bytomiu nie było lepiej. Bo żyło tam nie 30, a 90 kotów. Zamiast mebli – kuwety. Zamiast wazonów – miski pełne robactwa. Koty, które przeżyły, były chore, wychudzone, poranione, z zainfekowanymi oczami i zębami w stanie muzealnym.

Piekło to miało swoją gospodynię. Kobieta twierdziła, że chciała dobrze. Że miała miękkie serce. Że nie mogła odmówić, kiedy ktoś przynosił kolejnego kota, bo przecież schronisko przepełnione, a ktoś musiał się zająć. No to się zajęła. Jak umiała. A że nie umiała...

Zwierzątka kochała też mieszkanka Krakowa. W jednym pokoju trzymała 50 królików. W klatkach, jedna na drugiej. Dla kontrastu – w kuchni pięć psów. Meble? Niepotrzebne. Łóżko? Materac na noc, na podłogę, między bobkami. Miejsca nie było na nic, może poza jednym chomikiem.

Kobieta przekazywała inspektorom kolejne zwierzęta etapami. Najpierw bardziej chore. Potem te mniej. W końcu dała się przekonać do wizyty w domu. Wtedy wyszło nie szydło, ale zapach rozkładu i bezradności. Dwa metry kwadratowe kuchni z psami, które już nawet nie szczekały.

Kiedy inspektorki zapytały, gdzie kobieta śpi, ta zawstydzona wskazała kątek pod ścianą. Rozkładany materac między klatkami.

Oj, maluśki, maluśki...

Naród się starzeje. Urodzeń coraz mniej, a miast szalejącego na podłodze berbecia to zwierzak staje się nowym centrum życia domowego. Zamiast kołyski – posłanie dla psa z memory foam. Zamiast pieluszki – biodegradowalne woreczki na kupki kota. Zamiast dzieci – wychowujemy pupila. I to z pompą. Łóżeczko, kocyk, automatyczny dozownik jedzenia i picia, fryzjer, ortodonta, psychoterapeuta – wszystko dla futrzaka.

W 2023 r. w Polsce żyło 8,5 mln psów – więcej niż dzieci i młodzieży w wieku 0–18 lat, których populacja wyniosła 7,2 mln. To już nie zabieg perswazyjny – to wymiana ról. Zwierzak staje się zamiennikiem potomstwa. Od 2010 r. liczba dzieci spadła o około 8 proc., podczas gdy populacja psów wzrosła o 15 proc. Do tego dochodzą koty – około 7,5 mln – co znaczy, że także one przewyższają liczebnością najmłodszych obywateli. Polska plasuje się dziś w europejskiej czołówce. Niemal połowa gospodarstw domowych ma psa, ponad 40 proc. – kota.

W społeczeństwie, w którym dominuje lęk przed odpowiedzialnością, przed niepewnością, przed przyszłością, łatwiej mieć zwierzę – mniejsze wymagania, mniejsze ryzyko, mniejszy koszt psychiczny. A przy tym – większa kontrola. Zwierzaka można zaprogramować. Karmić, pielęgnować, ubierać, wyciszać, przytulać, fotografować. Dziecko wymaga kompromisów, dróg życiowych, dramatów, błędów, wychowania, chaosu. Pupil? Przy futrzaku nie musisz liczyć się z gonitwą hormonów ani testami szkolnymi.

Oczywiście ktoś na tym zarabia. Rynek produktów zoologicznych w Polsce w 2023 r. wyceniano na ponad 5,5 mld zł. Wiele osób wydaje na pupila około 600 zł rocznie – z czego 80 proc. idzie na karmę. Są usługi – fryzjer, spa, zabiegi kosmetyczne – gdzie ceny sięgają setek złotych. Widać to w nagłówkach: „200 zł na fryzjera, nawet 20 tys. zł na leczenie". W segmencie usług weterynaryjnych rośnie popyt na stomatologię zwierzęcą, ortodoncję, behawioryzm. Wszystko, co dotychczas było domeną ludzi.

Jak to wygląda w skali domowej? Kupuje się pupilowi specjalne łóżko ortopedyczne z funkcją chłodzenia, kocyk z włókien bambusowych, stację karmienia z timerem i czujnikiem wagi, kamerę, by patrzeć, co zwierzak robi, kiedy właściciel wyjdzie. Do tego wizyty u zwierzęcego psychoterapeuty, by pupil nie cierpiał z powodu lęku separacyjnego, fryzjer co miesiąc, pielęgnacja pazurków i kupno ubranek sezonowych. To nie wymysł – obserwujemy to na Instagramie, Facebooku, w reklamach sklepów zoologicznych. Zwierzak stał się centrum budżetu emocjonalnego i finansowego.

Tymczasem na dzieci – zabawki, książki, edukację – wydajemy coraz mniej. W niektórych kategoriach produktów dla dzieci sprzedaż spadła w trzy lata o ponad 20 proc. Wydatki domowe przesuwają się – z kołyski ku kuwecie.

Bo ja cię kocham

Gdzie kończy się miłość, a zaczyna obsesja? Kiedy to, co miało być opieką, staje się chorobą?Zjawisko przypominające zespół Münchhausena per procura coraz częściej nie dotyczy już dzieci, lecz właśnie zwierząt. Opiekunowie, chcąc zdobyć uwagę i współczucie, zamieniają zdrowe psy w wiecznych pacjentów. Właściciele niemal natychmiast po odebraniu szczeniaka zgłaszają rzekome choroby, zmieniają diety co drugi dzień, faszerują lekami, biegają od gabinetu do gabinetu, aż pies naprawdę zaczyna chorować. Bo właściciel ma potrzebę bycia potrzebnym. Futrzak staje się medium do przeżywania, do budowania swojej tożsamości jako ratownika. I choć może się to wydawać odosobnione, skala zjawiska rośnie. Hodowcy psów, weterynarze i behawioryści coraz częściej zgłaszają podobne przypadki. Pies, który miał być przyjacielem, staje się przedmiotem emocjonalnej projekcji, testem na własne istnienie.

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Przypadki takie są coraz lepiej udokumentowane. Hodowca sprzedaje zdrowego labradora, a po tygodniu odbiera dramatyczne wiadomości. Pies nie je, boi się, ma biegunkę. Opiekunka zaczyna zmieniać karmy, chodzi od weterynarza do weterynarza, zbiera diagnozy, publikuje relacje z cierpienia pupila w sieci. Lekarze nie wiedzą o równoległych wizytach w innych gabinetach. Pies przyjmuje coraz więcej leków. Zdycha. Hodowca dostaje groźby, a właścicielka zbiera w sieci pieniądze na kolejnego psa.

Weterynarze dostrzegają niepokojące wzorce. Pies, który według właścicielki cierpi na skrajny lęk separacyjny, w rzeczywistości spokojnie zasypia, gdy zostaje sam. To nie pies wymaga terapii. To opiekun ma coś nie tak ze sobą.

Miłość do zwierząt staje się czasem wentylem dla emocjonalnych deficytów. Z badań wynika, że

81 proc. millenialsów kocha swoje zwierzę bardziej niż co najmniej jednego członka rodziny. 57 proc. stawia je ponad rodzeństwem, połowa ponad matką. Aż 30 proc. uważa, że kocha je bardziej niż partnera.

I nie chodzi już tylko o uczucia, ale o priorytety. W razie choroby zwierzaka 49 proc. badanych gotowych jest podjąć dodatkową pracę, sprzedać telewizor, laptopa, biżuterię.

Zdarza się, że opiekunowie posiadają po kilkanaście zwierząt w małym mieszkaniu, tłumacząc to miłością. Ale granica między opieką a syllogomanią bywa bardzo cienka. Komuś zapomniało się, że zwierzaki nie potrzebują perfumowanej poduszki i maszynki do masażu, ale stabilności i bezpieczeństwa. Cierpią, gdy są głodne i zaniedbane emocjonalnie – a nie wtedy, gdy nie mają kurtki z goreteksu.

Porobiło się tak, że weterynarze i behawioryści muszą dziś diagnozować nie tylko zwierzęta, ale i właścicieli. Coraz częściej ich obowiązkiem staje się odmowa wykonania kolejnego niepotrzebnego badania, kolejnej diety cud, kolejnej konsultacji bez podstaw. No i trafia ich szlag, gdy słyszą, że największym zagrożeniem dla czworonogów są kojce mające mniej niż 20 mkw.

TADEUSZ JASIŃSKI

PLURALIS MAIESTATIS

Porozmawiajmy o pogodzie...

Złota polska jesień

Zamierzam „przemalować" się na pogodynkę. Będę Państwa informować, że jest złota polska jesień. Nawet jak będzie walił grad strusich jaj, halny tak powieje, że stodoły zapełnią się wisielcami, Morze Bałtyckie zamarznie, a dunder wsio świśnie – będę tokować: złota polska jesień. Złota polska jesień! W propagandzie sukcesu będę lepsza od Szłapki! No i rozmowy o pogodzie są takie bezpieczne. A ja przecież mam swoje lata. Oszczędzać się trzeba.

Nie udało się RP wprowadzić LexCenzury ani paru innych mordoklei na wolność słowa. Owszem, można jeszcze próbować przywrócić powojenny paragraf – „obraza narodu polskiego" do kupy z „rozsiewaniem fałszywych informacji, które mogą wzbudzić niepokój publiczny". Bardzo były przydatne na przełomie 1967 i 1968 r.! Za „obrazę narodu polskiego" można było łyknąć i dychę w mamrze. W sumie to można by było przywrócić i oddziały karne w Orzyszu. Co nie można? Wszystko można! Zdumiewające jest, jak podzielony światopoglądowo, niby idealnie na pół, naród polski w niektórych kwestiach jodłuje jednym głosem.

Czepiacie się Żydów, a przecież my Żydzi znowu okazaliśmy się lekiem na całe zło – jebią nas z lewa i jebią nas z prawa. Rodzi się wspólnota ponad podziałami...

Tak jak kiedyś był znaczek z Papieżem i Generałem, to już wypuśćcie Polacy, znaczek z Braunem i Zandbergiem. Cymes będzie. Aj, aj, aj – a ja przecież miałam o pogodzie!

Taka pogoda piękna jest – piękna! Dla bogaczy! I dzwony biją! Ostatecznie dla wszystkich. Ludzie zachowują się jak sfrustrowane urzędasy – zastraszają się wzajemnie i każde prywatne upokorzenie kładą dalej kamieniem zniewagi na grzbiet tego, kogo uznają za słabszego od siebie. Za pariasa. Bardzo długo wydawało mi się, że problemem jest to, iż koraliki się skończyły, a tortu nie starczy dla wszystkich. Jednak kilka osób mi tłumaczy i prawie mnie już przekonało, że może koralików jest po prostu za dużo. Otóż w dupach się po prostu poprzewracało. Chuj spalił wartości niematerialne. Jeszcze nie stworzyliśmy społeczeństwa obywatelskiego, a już je zmieniliśmy w społeczeństwo donosicieli albo nigdy garbu społeczeństwa donosicieli, Polacy się nie pozbyli. Aktywiści wszelkiej maści zamienili się w oszalałych, rozhisteryzowanych aktywiszczy toże wszelkiej maści. A byli tacy wspaniali! Nie zasypiali gruszek w popiele. I cholera – ja tak ich uwielbiałam. Jakość nie przeszła w ilość, a moda to tylko moda. Gdzie się nie ruszysz – wypierdala gejzer szamba. W dodatku jak powiesz: „o, szambo!", to słyszysz, że może i szambo, ale fiołkami pachnie. W judaizmie cel nie uświęca środków, a nawet więcej: trefne środki z najlepszego celu robią trefę.

Zdaje się, że w społeczeństwie masowym najbardziej pożądany cel ma coś ze Zbyszka z Bogdańca – „mój ci on". Masowy Mójcion zastrasza. Masowy Mójcion niszczy przypadkowym ludziom życia. Masowy Mójcion nawet nie wie, że jest oksymoronem! Co gorsza Masowy Mójcion w ogóle nie ratuje tych żyć, które chciałby uratować…! Najwyraźniej w masie jesteśmy w stanie zabić Bogobojnego, żeby przy okazji Jego ocalania i nie uratować – choćby przypadkiem – życia Łotra. Zła wiadomość jest taka, że żadna cywilizacja czegoś takiego nie przetrwa. Z koralikami czy bez koralików. I nie mówcie Państwo, że Wam tego nie mówiłam, nim zaczęłam mówić o pogodzie.

IZABELA SZOLC

eprasa.pl 9bba2651f1

Między wyrokiem a wódeczką

Podlaska prokuratura się szkoli i świętuje

Po spektakularnej porażce w procesie piątki z Hajnówki – wolontariuszy sekowanych przez państwo za humanitarną pomoc migrantom – prokuratorzy okręgu białostockiego zostali wysłani na szkolenie do Białowieży.

Pogadanki połączone z tradycyjną wódeczką po organizuje w takich sytuacjach Prokuratura Krajowa i jej Biuro Prezydialne pod wodzą dyrektora Jarosława Onyszczuka – należącego, obok słynnej Ewy Wrzosek, do elitarnego grona śledczych, których dojeżdżała pisowska władza.

Szczegółów z tego zjazdu nie znamy, ale znamy jego źródła. Otóż Podlasie i jego śledczy mają jedną z najgorszych statystyk pod względem wykrywalności i zakończonych sukcesem spraw przed sądem. Stąd i to szkolenie zwołane naprędce.

Jedną z ilustracji nieustających kompromitacji podlaskich prokuratorów jest krótki proces przed białostockim sądem z 26 września. Bartek (nazwiska oskarżonego nie ujawniono), który występował jako pełnomocnik migrantów z polsko-białoruskiej granicy, został oskarżony przez straż graniczną o znieważenie.

Albowiem kiedy ów Bartek upomniał się o jednego z migrantów – który, wedle słów pograniczników, miał nagle zrezygnować z międzynarodowej ochrony w Polsce i którego najprawdopodobniej wypchnięto za druty na Białoruś – kazano mu opuścić placówkę SG w Michałowie. I wtedy Bartek, w nerwach, rzucił w stronę funkcjuszy SG, że będą „mieli przejebane".

Sąd Rejonowy w Białymstoku ustami sędziego Tomasza Pannerta uniewinnił oskarżonego i w ustnym uzasadnieniu wyroku podkreślił, że Bartek nie jest chuliganem, ale wrażliwcem, propaństwowcem, którego po ludzku poniosło.

I nie ma najmniejszego powodu, żeby go z tego powodu represjonować.

– Łamiecie prawo, zostaną wobec was wyciągnięte konsekwencje – powiedział sędzia, unikając cytowania wulgaryzmu. – A co miał powiedzieć? Miał wyjść, podziękować: dziękuję panowie, żeście mnie wpuścili. No nie, zderzył się z murem i reaguje adekwatnie do sytuacji, w jakiej się znalazł, w jakiej został postawiony przez państwo prawa…

Na koniec sędzia Pannert dodał to, co wydaje się oczywiste, a o czym uśmiechnięta koalicja – podobno ta lepsza niż PiS – a także podległe jej teraz instytucje wydają się coraz częściej zapominać: – Każdy ma prawo do tego, żeby się nie zgadzać z drugim, każdy ma prawo kwestionować decyzje organów państwa, ale każdy ma prawo, żeby to państwo postępowało wobec niego w sposób jawny, transparentny, lojalny. Na tym buduje się szacunek dla państwa.

29 września, jak gdyby nigdy nic, część prokuratorów z Podlasia świętowała sukces. Podczas uroczystości w Warszawie z udziałem prokuratora generalnego Waldemara Żurka ogłoszono nowe nominacje asesorskie i prokuratorskie. Szczęście uśmiechnęło się wtedy do prokuratorki rejonowej Anny Giedrys, która awansowała do Prokuratury Okręgowej w Białymstoku, gdzie przypadkiem pracuje jej mąż Grzegorz Giedrys, delegowany tam z Prokuratury Regionalnej, czyli tej nadrzędnej wobec wszystkich śledczych z Okręgu Białostockiego.

Inną szczęściarą jest nowa prokuratorka okręgowa Katarzyna Gawryluk-Linko, o której szepczą, że jest kuzynką Aliny Sapieżko z tejże wspomnianej Prokuratury Regionalnej w Białymstoku.

Powód do radości może mieć też nowa prokuratorka Prokuratury Rejonowej w Bielsku Podlaskim Weronika Fidler. Jeszcze jako asesorka kilka miesięcy temu wygrała konkurs o to stanowisko z Magdaleną Rutyną, tą od piątki z Hajnówki, wtedy też ledwie asesorką. Rutyna została jednak prokuratorką w czasie słynnego procesu, z pominięciem konkursu, a Fidler musiała cierpliwie czekać na uścisk dłoni Żurka.

– Każda decyzja i każde prowadzone postępowanie mają realny wpływ na życie ludzi oraz na sposób postrzegania całej prokuratury przez społeczeństwo. Od waszego profesjonalizmu i niezależności zależy sprawne funkcjonowanie polskiego wymiaru sprawiedliwości, co ma fundamentalne znaczenie dla państwa i obywateli – pięknie mówił Żurek podczas uroczystości. Dodając przy tym chyba dla żartu: – Niezależność prokuratury jest fundamentem każdej sprawiedliwej i demokratycznej jurysdykcji, a jej zachowanie jest niezbędne dla ochrony obywateli przed nadużyciami władzy…

JMP

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

WIEŚCI GMINNE i INNE

Białoruś oskarżyła Polskę o „brutalne" i „siłowe" działania wobec uchodźców na granicy. Podczas 76. sesji Wykonawczej Rady Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców w Genewie, przedstawicielka Mińska Łarysa Bielska stwierdziła, że w ciągu ostatnich czterech lat białoruskie służby udokumentowały ponad 80 zgonów migrantów, do których miało dojść w wyniku działań służb bezpieczeństwa Polski.

Rząd tnie Fundusz Pracy. Samorządy w szoku. W projekcie budżetu na 2026 r. rząd zaplanował 2,15 mld zł na walkę z bezrobociem. 40 proc. mniej niż rok wcześniej. Samorządy podnoszą alarm: „Jak my teraz aktywizację zrobimy?!". Prezes Związku Powiatów Polskich Andrzej Płonka ostrzega, że przez cięcia zabraknie na szkolenia, staże i dotacje, a lokalne gospodarki mogą dostać zadyszki. Bezrobocie już podskoczyło do 5,5 proc.. więc zdaniem Płonki trzeba bronić funduszu jak niepodległości. Ale może rząd ma po prostu trzeźwiejsze spojrzenie na aktywizację? Bo ile można jeszcze szkolić bezrobotnych z „pisania CV", „autoprezentacji" i „pewności siebie"? W końcu te programy stworzyły miejsca pracy głównie dla trenerów i coachów, a nie dla samych bezrobotnych. A miliardy, gdyby trafiły bezpośrednio do przedsiębiorców, miałyby szansę zamienić się w coś, co naprawdę działa, czyli prawdziwe etaty, a nie kolejne warsztaty z pozytywnego myślenia.

Do Sądu Okręgowego w Jeleniej Górze trafił akt oskarżenia przeciwko Andrzejowi G., byłemu burmistrzowi Bogatyni, oraz 29 współoskarżonym. Według prokuratury wybory samorządowe w 2018 r. odbyły się tam w formule „cash & carry" – 50 zł i butelka za głos, czyli pełna demokracja w wersji promocyjnej. Łącznie na „budowanie poparcia w terenie" miało pójść 212 tys. zł. To jednak nie wszystko. Burmistrz miał też „pożyczać" pieniądze z miejskich spółek – ponad 200 tys., które wracały do niego przez system nagród wypłacanych urzędnikom, a następnie grzecznie mu zwracanych. Crowdfunding na własną kampanię, tylko bez pośrednictwa internetu. Za ten kreatywny model finansowania demokracji Andrzejowi G. grozi 10 lat więzienia. Choć, patrząc na standardy życia publicznego, trudno się oprzeć refleksji, że karanie za kupowanie głosów to w Polsce pomysł tyleż śmiały, co ryzykowny. W końcu na tym od lat opiera się cała konstrukcja ustroju, tylko w nieco bardziej eleganckim opakowaniu.

Polska ma więcej złota niż Europejski Bank Centralny i Bank Anglii – ogłosił z dumą prezes NBP Adam Glapiński. Narodowy Bank Polski posiada już 520 ton złota o wartości 240 mld zł, co stanowi jedną czwartą rezerw walutowych kraju. Polska zajmuje 12. miejsce na świecie pod względem zasobów złota, wyprzedzając instytucje z Londynu i Frankfurtu. Wygląda imponująco, choć za złoto, jak wiadomo, nie da się kupić chleba ani ropy. Oficjalnie ma to być „kotwica bezpieczeństwa państwowego". A nieoficjalnie? Może raczej złoty ponton bezpieczeństwa politycznego, który w razie czego (wiecie czego, prawda?) pozwoli klasie rządzącej odpłynąć w kierunku bezpieczniejszych brzegów z sakiewką pełną blasku.

Rys. OBYWATEL JANEK

Prywaciarze i obszarnicy nie mają litości dla naszego wielkiego astronoma Mikołaja Kopernika. Centrum Astronomiczne im. Mikołaja Kopernika PAN w Warszawie właśnie zderzyło się z twardą rzeczywistością. Instytut musi zapłacić 4 mln zł odszkodowania za działki przy ul. Bartyckiej, które w latach 70. (czyli jeszcze w epoce, gdy wszystko było państwowe) skarb państwa przekazał centrum bez uregulowanego stanu prawnego. Teraz potomkowie dawnych właścicieli odzyskali prawa, a astronomowie – długi. CAMK wysupłał 2 mln zł z funduszy przeznaczonych na badania kosmiczne, żeby poprawić humor spadkobiercom i ich kontom bankowym. Badania nad kosmosem wstrzymano. Prezes PAN prof. Marek Konarzewski alarmuje, że jeśli rząd nie pomoże, instytut może paść niczym satelita po utracie łączności. Tak Mikołaj Kopernik – który ruszył Ziemię – dziś może wylądować na bruku.

Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska w Olsztynie przyjmuje uwagi w sprawie planu budowy drogi ekspresowej S16 między Mrągowem a Ełkiem. Protestują mieszkańcy, samorządy i miłośnicy mazurskiej ciszy. Zebrano już ponad 10 tys. podpisów. Ekolodzy ostrzegają, że ekspresówka przez jeziora to jak wbicie stalowego noża w serce krajobrazu – i to jeszcze z dopalaczem asfaltowym. Na pewno swoje zdanie mają też kierowcy i transportowcy, tylko nikt nie wpadł na pomysł, żeby zebrać ich podpisy pod listem poparcia. W efekcie wygląda to tak, jakby całe Mazury zgodnie uznały, że droga jest zupełnie zbędna. Po co komu szybki dojazd, skoro można godzinami kontemplować przyrodę, stojąc w korku między Mrągowem a Ełkiem.

We Wrocławiu odsłonięto pomnik szczura przed kampusem Uniwersytetu SWPS. Monument ufundowany przez studentów psychologii ma być hołdem dla zwierząt laboratoryjnych, które przez lata służyły nauce. Na tablicy widnieje napis „dla Barnabusa" – na cześć słynnego szczura, który zasłynął w badaniach nad uczeniem się i przyjemnością, niestety z tragicznym finałem. Pomnik ma przypominać, że za każdym odkryciem naukowym stoją nie tylko ludzie, lecz także zwierzęta, które poświęciły życie dla wiedzy. Prof. Dariusz Doliński podkreślił, że to symbol wdzięczności nauki wobec jej cichych ofiar.

O tym już pewnie słyszeliście: przed katedrą w Kielcach stanęło lustro za 86,8 tys. zł. Nie byle jakie: dwa na dwa metry czystej refleksji pod nazwą „Niebo Kielc" autorstwa Marka Cecuły. Projekt miał „przybliżać niebo do ziemi", ale najwyraźniej przybliżył też mieszkańców do granic cierpliwości, bo internet zalała fala komentarzy o „marnowaniu publicznych pieniędzy". Tymczasem spójrzmy w to lustro z innej strony (i najlepiej nie w pełnym słońcu): o instalacji usłyszało już 90 proc. Polaków, czyli ponad 33 mln osób. Gdyby kosztowała 5 tys. zł, nikt by nawet nie zauważył, że w Kielcach oprócz dworca jest coś jeszcze. A tak – cała Polska odbija się w kieleckim zwierciadle. Po przeliczeniu wychodzi, że promocja miasta kosztowała 0,0025 zł za osobę poinformowaną. Najtańsza kampania w historii! Kielce właśnie wymyśliły nowy model PR – marketing przez oburzenie. A że lusterko drogie? Cóż, żeby błyszczeć, trzeba zainwestować w odbicie.

Natomiast na Skwerze Europejskim w Gliwicach pojawił się nowy cud współczesnej sztuki – złoty kciuk autorstwa Jana Śliwki. Monument odsłonięto w ramach biennale „Sztuka w mieście, miasto w Sztuce", a koszt przedsięwzięcia to skromne 300 tys. zł, z czego 90 tys. dorzucił magistrat. Według władz to symbol „nowej tożsamości Gliwic". Problem w tym, że rzeźba jest tymczasowa, więc ta tożsamość najwyraźniej też ma termin przydatności do końca wystawy. O ile kieleckie lustro dało się jeszcze obronić argumentem o taniej reklamie, to bronienie złotego kciuka przypomina próbę zatrzymania walca drogowego gołymi rękami. Można więc powiedzieć, że Gliwice właśnie postawiły sobie lajka… za publiczne pieniądze.

Logo wrocławskiego Wydziału Policji do Walki z Przestępczością Narkotykową narobiło niezłego dymu – i to nie tego, o który chodziło. W centrum odznaki widnieje zielony liść konopi, czyli symbol rośliny, z którą świat coraz chętniej robi interesy, a Polska wciąż prowadzi świętą wojnę. Krytycy uznali to za pokaz anachronizmu w pełnej krasie. Znak, który miał budzić respekt, budzi raczej refleksję, jak daleko Polska odeszła od rzeczywistości. Na Zachodzie konopie to lek i podatki. U nas – wróg publiczny numer jeden. Pozostaje jednak pytanie: co powinno się znaleźć na logo zamiast marychy? Może parówka w aureoli? Albo gołąb z białym proszkiem w dziobie?

RJ

PS Pokornie wyznajemy, iż słowa powyższe, pochodzą z rozmaitych źródeł – z publikatorów gminnych i innych, bardziej lub mniej oświeconych. Jeżeli więc któreś z nich okaże się nieprawdziwe, jeśli któryś przecinek lub cytat zawiedzie wasze zaufanie, błagamy o wybaczenie w imieniu własnym i naszych braci pismaków z terenu.

REKLAMA

eprasa.pl 9bba2651f1

Europa bez znieczulenia

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wokół filmu „Kontinental ‘25”.

Prawie 70 lat temu w nadawanym w Polskim Radiu słuchowisku „Humoreski” Sławomir Mrożek mówił: „Moim zawodem jest komponowanie nieprawdziwych historii w ten sposób, aby były jak najbardziej prawdziwe, czyli literatura. Moje opowiadania zaliczają się do satyry, a pojęcie satyry łączy się zawsze pojęciem śmiechu czy też uśmiechu. Otóż, właśnie, można się śmiać bardzo rozmaicie: głośno i po cichu, na zewnątrz i do siebie, wesoło, a także, proszę państwa, można się śmiać bardzo smutno”.

Te słowa przypomniałam sobie, gdy w małej salce kina studyjnego w towarzystwie paru osób oglądałam komediodramat Radu Jude’a „Kontinental ‘25”. Nieprawdziwej historii, która jest boleśnie prawdziwa. Film totalnie wkurwiający, nagrany w 10 dni telefonem; film, w którym mało co się dzieje, w którym nie ma pięknych ludzi, który często jest przerażająco smutny i brzydki, że aż zęby bolą. Zastanawiam się, czy widzowie nie popadną w depresję, jeśli już jej nie mieli wcześniej, co jest dość prawdopodobne.

A jednak oglądałam go z zapartym tchem – sceny pełne niedoświetlonych obrazów, dialogi będące długimi tyradami, które chwilami wręcz torturują. Bo Radu pokazał bolesną prawdę o Europie, zwłaszcza jej środkowej części. Bez znieczulenia, bez osłonek. Jak mawiają Rosjanie: nie wiń lustra, gdy gęba krzywa.

Szokujące nierówności

„Kontinental ‘25”, film inspirowany prawdziwymi wydarzeniami, to banalna opowieść o Orsoyli (zupełnie nieefektowna Eszter Tompa), właścicielce firmy komorniczej w transylwańskim Klużu, której trafia się eksmisja bezdomnego staruszka z piwnicy domu przeznaczonego do wyburzenia. Trzeba ją wykonać, bo w tym miejscu ma powstać luksusowy hotel, a inwestor chce rozpocząć budowę jeszcze przed zimą. W Rumunii, jak w Polsce, rządzą deweloperzy.

Staruszek przywiązuje się za szyję drutem do kaloryfera i zrozpaczony popełnia samobójstwo. Orsoyla nieraz będzie opowiadać o powieszeniu się mężczyzny na kaloryferze; ciężko to przeżyła, próbowała reanimować trupa, co oglądali – i nagrywali – żandarmi. Kobieta ma straszne wyrzuty sumienia. Ma robotę, jaką ma, ale wyprosiła u inwestorów miesiąc czasu dla bezdomnego na wyprowadzkę, nie przeprowadza zimą eksmisji, załatwiła transport do noclegowni. Chce być w porządku.

Zygmunt Bauman powtarzał swoje motto życiowe za Albertem Camusem: „Jest piękno i jest upokorzenie. Chcę dochować wierności jednemu i drugiemu”. U Radu piękna nie ma. Jest upokorzenie.

Upokorzenie, gdy widzimy w pierwszych scenach bezdomnego staruszka szukającego surowców wtórnych lub proszącego ludzi w restauracji o parę groszy, a najlepiej pracę – i skarżącego się, że nikt go nie chce zatrudnić. To skądinąd były sportowiec, którego piękną karierę przerwała kontuzja.

Upokorzenie, gdy widzimy romską rodzinę z chorym dzieckiem, która dosłownie mieszka na wysypisku śmierci, co jest pokazane z naturalizmem godnym Emila Zoli.

Upokorzenie, gdy słyszymy o bezdomnym mężczyźnie, „mieszkającym” przy garażach nieopodal koleżanki Orsoyli, który sra, gdzie popadnie, a zimą musi radzić sobie z kilkunastostopniowym mrozem. Koleżanka ma ambiwalentne uczucia – kloszard ją wkurwia, ale mimo wszystko jej go żal. Tu aż prosi się o zacytowanie Ulricha Becka, który mawiał, że nie ma biograficznych rozwiązań systemowych problemów (np. bezdomności).

Upokorzenie, gdy absolwent studiów – Orsoyla kiedyś była wykładowczynią akademicką – pracuje jako rowerowy kurier. Ma on na plecaku podświetlony napis, że jest Rumunem, bo kierowcy dają wycisk kurierom z Bangladeszu. Od tego czasu, mijając na ulicach mężczyzn o brązowej lub czarnej skórze, dowożących nam żarcie, zastanawiam się, czy w Polsce nie jest podobnie. Coś mi się wydaje, że owszem…

W okowach stereotypów

Film jest przesycony polityką, zarówno przez małe, jak i duże „p”. Orsoyla ma korzenie węgierskie (Transylwania przez większość historii była węgierska), więc w mediach społecznościowych pojawiają się komentarze, że podła węgierska kurwa zabiła dobrego Rumuna. Dziwnie mi to przypomina komentarze w polskim internecie, gdy Ukraińcy łamią przepisy drogowe lub popełniają przestępstwa.

Orsoyla nienawidzi Orbána, nazywa go faszystą. Wkurwia ją jego poparcie dla Putina, który dla niej jest zbrodniarzem za to, co robi Ukraińcom. Pojawia się nawet fragment materiału wideo, gdy rosyjski żołnierz, widząc nieuchronny atak drona, trzyma obok głowy dwa odbezpieczone granaty, aby samemu zdecydować o tym, jak umrze.

Znamienne, że o Gazie Radu wspomina jako o abstrakcyjnej tragedii, nie wskazując winnych. To trochę słabe – wiadomo, kto odpowiada za zbrodnie w Strefie Gazy. Czyżby reżyser nie chciał wkurwiać liberalnych europejskich elit, które wciąż żyją w poczuciu winy za Zagładę Żydów, choć pamięć o niej nakazywałaby sprzeciwiać się każdemu ludobójstwu? Także – a może przede wszystkim – popełnianemu przez Żydów…

Mrożek w słuchowisku, o którym wspominałam na początku, mówił też: „Niektórzy zarzucają mi, że moje opowiadania są dziwne i niezrozumiałe, ale proszę tylko usiąść i zastanowić się nad faktem, że przyszliśmy na ten świat i co na nim robimy. Wątpię, czy po pięciu minutach zastanowienia, wyda się to państwu zupełnie proste i zrozumiałe”.

Film Radu jest dziwny i niezrozumiały, chwilami chaotyczny, ale skłania do stawiania poważnych pytań. To raport nie tylko z kondycji Rumunii, lecz całej Europy – przesiąkniętej nierównościami społecznymi i ekonomicznymi, pełnej resentymentów narodowych i dominacji kapitału (zwłaszcza deweloperów) nad społeczeństwem.

W mojej głowie rodzi się tylko jedno pytanie: dlaczego nasi reżyserzy takich filmów nie kręcą? Jeśli idzie o poważne kino, w meczu Rumunia–Polska jest jeden do zera…

ZUZ

Kuferek pamięci

Książki do czytania

Wybitny polski historyk Jan Baszkiewicz często wzdychał, wspominając na seminarium magisterskim o bogactwie francuskich domowych archiwów.

Tam w wielu mieszczańskich domach pieczołowicie przechowywane są pamiątkowe rodzinne zdjęcia, zaproszenia na śluby, jadłospisy uczt weselnych i styp. Bilety na spektakle teatralne i operowe, uprawniające do podróży kolejami żelaznymi, górskimi i statkami wszelkich rodzajów.

W kuferkach ukrytych na strychach starych domów znaleźć można pisane kiedyś listy, skrupulatnie prowadzone dzienniki, spisywane przez przodków wspomnienia. Świadectwa ich mozolnego dorobku. Dziś są to raje dla historyków pragnących odtworzyć nie tylko minione dzieje, ale też ówczesne myślenie i style życia.

W Polsce takie domowe skarbczyki rzadko są spotykane. Nie tylko dlatego, że nie mieliśmy tak licznego i zamożnego mieszczaństwa jak w państwach zachodniej Europy. A jeśli już w polskich miastach było, to często nie miało polskiego pochodzenia. Żyło obok politycznego, polskiego szlacheckiego narodu.

Bo rządząca w I Rzeczpospolitej i tworząca „polskość” warstwa szlachecka pogardzała warstwą mieszczańską. Ograniczała jej rozwój, prawa obywatelskie, dostęp do kultywowanej przez szlachtę „polskości”.

Pogardę dla „interesownych kupców” i „bezdusznych dorobkiewiczów” odziedziczyła XIX i XX-wieczna postszlachecka inteligencja polska, też gardząca ideowo „płaskim materializmem”.

W Polsce nie było powszechnego zwyczaju spisywania wspomnień, przechowywania diariuszy domowych wydatków, rachunków. Listy pozostawiane przez zmarłych skrupulatnie palono.

Tych mniej licznych polskich kuferków pamięci najnowsza historia też nie rozpieszczała. Wiele z istniejących archiwów domowych nie przeżyło grabieży i pożogi w czasie dwóch wojen światowych. Okupanci niemieccy i radzieccy wypędzali mieszkańców Polski do obozów pracy i śmierci. Zwykle mieli prawo do zabrania tylko jednego kuferka.

Traumy wojennych okupacji i powojennych stalinowskich represji sprawiły, że pokolenia naszych dziadków i rodziców nie chciały wspominać swych przeżyć. Pytane szeptem o tamte czasy przestrzegały, że „o tym się nie mówi”. Stąd nasze wyrwy w rodzinnej pamięci, tradycji, historycznych monografiach.

Dziś mamy już liczne syntezy dziejów napisane przez zawodowych historyków. Prezentujące dzieje z punktu widzenia elit politycznych.

I jednoczesny niedobór historii opisujących dzieje klas ludowych, polskiej prowincji. Dowodem takiego głodu czytelniczego jest sukcesu książki „Chłopki” Joanny Kuciel-Frydryszak.

Na szczęście mamy też coraz więcej literackich zapisów naszych dziejów. Zwłaszcza małych, lokalnych Ojczyzn.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Fenomen pamięci dla jednych sprowadza się do samego procesu zapamiętania, dla drugich – do przekazywaniu innym tego, co w pamięci zapisano, aby utrwaliło się w czasie (…). W jakimś momencie także ja uświadomiłem sobie, z pozoru banał, że wraz ze mną wszystkie nieopowiedziane historie tkwiące w mojej głowie odejdą w niepamięć” – napisał we wstępie do zbioru swych opowiadań Sławomir Rogowski.

Przechowujących ocalałe dzieje swej rodziny. W czasach szczególnych, bo przeorane dwoma światowymi wojnami. W miejscu szczególnym, bo w trójkącie województw kieleckiego, śląskiego i krakowskiego.

W Jędrzejowie i okolicy. Tyglu, gdzie wirówka dziejów wymieszała tamtejszych Łyskowian, Mstyczowian z napływającymi Polakami wypędzonymi przez Niemców z Pomorza, wołyniakami uciekającymi przed rzeziami UPA, powracającymi z Syberii kresowiakami szukającymi swego miejsca w nieznanej im wcześniej „centralnej Polsce”.

Ci wszyscy nagle wymieszani tak różni Polacy wpadli dodatkowo w wir dziejów. Upadek II Rzeczpospolitej, dwie różne okupacje, wyzwolenie ich przez „ruskich”, nową „ludową” Polskę, przeoraną reformą rolną wieś, powszechną edukację i elektryfikację. Zmierzch panów ziemian i zmierzch Polski wiejskiej i małomiasteczkowej.

Opowiadania Rogowskiego mają niewątpliwy urok literacki. Często, jak „Benek z lasu” i „Eliasz Kubiczek”, są świetnymi pomysłami na filmy. Niezwykła jest opowieść „Trędowata”. Bohaterka, babka autora, całe życie spędziła na wsi. Zawsze czuła się wolna, zawsze tęskniła za innym światem. W pamięci miejscowych pozostała kobietą mądrą i dumną. I tak piękną, że sam pan dziedzic, wedle plotek, podkochiwał się w niej. Zaimponowała mu, kiedy sama wyprawiła się aż do Krakowa, aby zobaczyć sfilmowaną „Trędowatą”. Miała więcej aspiracji kulturalnych niż on.

„Za tamtymi drzwiami” to drugi zbiór opowiadań Rogowskiego. Potwierdzający jego literacki talent. Ale nie tylko za talent je polecam.

Jego opowiadania, podobnie jak wcześniejsza powieść „Widok z dachu”, zawsze są w kontrze do trendów obowiązujących właśnie w ocenach najnowszych wydarzeń i narzucanych przez media kanonów poprawności patriotyczno-politycznej.

Tak było w „Widoku z dachu”, gdzie Rogowski pokazał stan wojenny z perspektywy przymusowo zmobilizowanych podchorążych. Wczorajszych anarchizujących studentów.

Tak jest w „Za tamtymi drzwiami”. Gdzie powrócimy w świat polskiej wsi sprzed reformy rolnej. Wielowarstwowej, zhierarchizowanej. Podzielonej na dumnych gospodarzy – choć ekonomicznie czasem gołodupców – i odrębnie trzymającej się sfery „dworusów”. Tych bez skrawka ziemi, pracujących na rzecz dworu. Bogatszych niekiedy materialnie od gospodarzy, ale o niższym statusie społecznym.

Podobnie różnie były postrzegane i pozostały w pamięci ziemiańskie dwory i ich mieszkańcy. Czasem byli to swoi, prawie ludzcy, czasem zupełnie obcy. Odpływający w mroki dziejów bez żalu ich dworusów i gospodarzy.

Przysłowiowy chłopski spryt nakazywał też inne zachowania wobec okupantów i ich wojsk. Niemcy jawili się jako złodzieje metodyczni, skrupulatni, emocjonalnie zimni. Ruscy są jak ludowi rozbójnicy. Kradną, ale potrafią się wzruszyć i biednych nie ruszać. Niemców uda się pohamować jedynie wezwaniem do przestrzegania przypominanego im prawa. Ruskiego, jak diabła z ludowych bajek, można polskim sprytem oszwabić.

Zajrzyjcie koniecznie do ocalonego dla Was przez Rogowskiego kuferka.

Znajdziecie tam świat wiejskiej i miasteczkowej Polski. Nasze Ojczyzny, bo stamtąd przede wszystkim dzisiejsza Polska pochodzi. Stamtąd przyszliśmy.

PIOTR GADZINOWSKI

Sławomir Rogowski „Za tamtymi drzwiami”, Muza, Warszawa 2025

eprasa.pl 9bba2651f1

Biedny jak alfons

Z danych policji wynika, że sutenerzy pracują pro bono

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Prostytuowanie w Polsce ma się najlepiej w sferze politycznej. W epoce randek z Tindera nawet dziewczynom na domówkach zaczyna w oczy zaglądać bieda. Sutenerstwo więc, dla ludzi uprawiających ten fach, przestało się kalkulować. Jedynie dla mediów półświatek to kolosalne kokosy są. Dla policji zaś to niewyczerpana studnia sukcesów zawodowych w zwalczaniu przestępczości.

Zawsze znajdzie się więc „zorganizowana grupa przestępcza", która „uczyniła sobie z nierządu stałe źródło dochodu". Zawsze jest triumfalny komunikat i zdjęcia telefonów na biurku. Gdy jednak policzyć, ile miesięcznie zarabiali ci „groźni gangsterzy", wychodzi, że to zawód dla naiwnych, a jedynym realnym beneficjentem alfonsów jest sama policja. Chyba że stróże prawa kłamią, bo wedle tego, co policja i prokuratura podają, to owe „stałe źródła" dają mniej, niż zarabia kasjerka w Lidlu.

Przestępcza domówka

Najprostszy model opisywanego w komunikatach procederu to wynajęte mieszkanie, dwie kanapy z Ikei, trzy dziewczyny na zmianę, telefonistka i ogłoszenie na portalu towarzyskim. To, co nazywa się „grupą przestępczą", w praktyce jest niezarejestrowaną działalnością gospodarczą.

Tak jak na warszawskiej Woli. On – czterdziestoletni właściciel mieszkania. Ona – 27 lat, jego partnerka i prawa ręka. Ogłoszenia zamieszczali sami. Fotki zrobione smartfonem, wrzucone na portale. Telefon odbierała dziewczyna, mężczyzna odwoził klientów, czasem kupował alkohol.

Klient płacił 150–200 zł za godzinę. Dziennie przychodziło 2–3 facetów. Miesięcznie – 25 tys. zł. obrotu. Połowa dla dziewczyn. Zostaje 12 tys. Reklama w internecie – 2 tysiące. Do tego czynsz, rachunki, papierosy, narkotyki, paliwo… Zostawało 5 tys. Dzielone na dwie osoby – 2,5 tys. na głowę.

I wtedy, o szóstej rano, wpadło CBŚP. Antyterroryści w kominiarkach wyważyli drzwi. „Gangster" siedział na kanapie w bluzie Adidasa, z kubkiem herbaty. Dziewczyna płakała w kuchni.

W protokole policja wpisała: „zabezpieczono 3 telefony, 4 tys. zł w gotówce i 15 prezerwatyw". W komunikacie – „rozbito groźną grupę, która uczyniła sobie z nierządu stałe źródło dochodu".

Na Wspólnej w Warszawie „gang" działał na większą skalę. Kilka mieszkań w różnych dzielnicach, kilkanaście kobiet. Organizacja jak w małej firmie: ogłoszenia, zdjęcia, transport, ochrona. Dochód – 90 tys. miesięcznie. Połowa dla dziewczyn. Zostaje 45 tys. Wynajem mieszkań – 20 tys. Reklamy – 5 tys. Kierowca i ochroniarz – 5 tys. Zysk: 15 tys. Na trzy osoby – po piątce. Tyle, co kierowca autobusu.

Akcja CBŚP wyglądała jak scena z filmu. Antyterroryści o świcie, drzwi wyważone, sąsiedzi w szlafrokach. W mieszkaniu znaleziono 40 tys. w gotówce, pałkę teleskopową i trzy zegarki. W komunikacie: „mafia żyła w luksusie". W rzeczywistości zegarki były z Allegro. Na przesłuchaniu „szef" gangu zapytany, ile zarabiał, odpowiedział: „czasem sześć tysięcy, czasem dwa, czasem nic".

Najbardziej filmowa historia jest jednak z Trójmiasta. Alicja B., 24-letnia gdańszczanka, kierowała grupą, która wynajmowała apartamenty i organizowała pracę kilkunastu dziewczyn. Telefonistka odbierała telefony, fotograf robił zdjęcia, ogłoszenia w sieci, ochrona – pełna logistyka.

Obrót – 150 tys. zł miesięcznie. Połowa dla kobiet. Zostaje 75 tys.. Wynajem apartamentów – 20 tys. Reklamy – 5 tys. Telefony i logistyka – 10 tys. Zysk: 40 tys. Na pięć osób – osiem na głowę. Tyle, co maszynista SKM.

Policja triumfalnie ogłosiła: „zabezpieczono 64 tys. zł, sto telefonów i dziesiątki kart SIM". W praktyce wyglądało to jak komis używanej elektroniki.

Podczas zatrzymania Alicja spała. W kajdankach, w różowych kapciach, trafiła do radiowozu. CBŚP podało: „na czele grupy stała młoda kobieta, która uczyniła z nierządu źródło dochodu". A zarabiała tyle, co kierownik zmiany w Lidlu.

Apartament komórkowy

Inny sposób działania polskiego sutenerstwa, to – w wersji oficjalnej – klub nocny albo „apartament z wynajmem pokoi". W wersji realnej – dom publiczny. Klienci wiedzieli, że opłata za „pokój" to bilet wstępu, a w pakiecie dostaną dokładnie to, czego szukali.

Taki właśnie klub działał w Łodzi. Reklamował się jako lokal z luksusowymi apartamentami na godziny. Ceny – od 250 do 300 zł za 60 minut. Do tego drinki w barze, muzyka i „atmosfera". Oficjalnie – wynajem krótkoterminowy. Nieoficjalnie – prostytucja.

Policja ustaliła, że grupa zarobiła w trzy lata 1,5 mln zł. Liczby robiły wrażenie – dopóki ktoś nie podzielił ich przez miesiące i ludzi. Milion i pół w trzy lata, to około 40 tys. miesięcznie. Połowa dla kobiet – 20 tys. Lokal i ochrona kosztowały co najmniej 10 tys., reklamy kolejne 5. Zostawało 5 tysięcy. Dla pięciu osób – po tysiaku.

Gdy CBŚP zrobiło nalot, wyglądało to jak scena z serialu akcji. Antyterroryści wpadli do środka, kazali wszystkim padać na ziemię. Klienci biegali po korytarzach w ręcznikach, dziewczyny w bieliźnie uciekały do łazienki, barman podnosił ręce, a ochroniarz – dwumetrowy chłop w garniturze – leżał na ziemi z kajdankami na plecach.

Łup policji? Osiem tysięcy złotych w gotówce, dwadzieścia telefonów, kilkanaście prezerwatyw i paczka marihuany. W komunikacie informowano, że „zabezpieczono mienie pochodzące z przestępstwa".

Dopiero potem wyszło, że grupa skorzystała z tarczy antycovidowej, wyciągając z tego tytułu 175 tys. zł. Państwo dopłaciło im, żeby burdel przetrwał pandemię.

Zabezpieczony majątek

Dwie agencje: Lotos i Continental hulały w Bydgoszczy przez trzy lata. Policja mówiła, że zarobiły 1,4 mln zł.

Policzmy. Miesięczny obrót – 40 tys. Połowa trafiała do kobiet. Zostaje 20. Lokale i obsługa – 10. Zysk – 10 tys. Podzielony na pięć osób – po 2 tys.

Podczas nalotu CBŚP weszło jednocześnie do dwóch lokali. Klienci nie wiedzieli, czy to pokaz, czy prawdziwa akcja. Na stole znaleziono butelkę wódki, kilka tysięcy w gotówce i dwa pistolety gazowe. Do tego marihuana w foliowej torebce i złote monety kolekcjonerskie. Policja ogłosiła – „zabezpieczono majątek wart 450 tys. zł".

Rzecznik CBŚP mówił z powagą: „członkowie grupy uczynili sobie z nierządu stałe źródło utrzymania". Takie, co dawało im po dwa tysiące na głowę miesięcznie.

Inną kategorią zwalczaną przez naszych dzielnych policjantów były międzynarodowe gangi zajmujące się importem kobiet. Panie – głównie Ukrainki – z reguły w trudnej sytuacji. Werbowane pod obietnicą pracy jako opiekunki czy kelnerki, kończyły w mieszkaniach w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu.

W tegorocznej, największej akcji ostatnich lat CBŚP zatrzymało 18 osób. Policja zapewniała, że „gang zarobił co najmniej milion złotych". Milion w dwa lata – to 500 tys. zł rocznie. Miesięcznie – 40 tys. Połowa dla kobiet. Zostaje 20 tys. Lokale i logistyka – 10 tys. Zysk – 10 tys. Na kilkanaście osób – po 700 zł na głowę. Mniej niż stypendium Erasmusa w Krakowie.

Podczas akcji policja weszła jednocześnie do mieszkań w czterech miastach. Antyterroryści w kominiarkach, psy policyjne, sąsiedzi filmujący telefonami. W jednym mieszkaniu znaleziono 30 tys. zł w gotówce i kilkadziesiąt telefonów komórkowych. W komunikacie: – „cios w międzynarodową siatkę handlu ludźmi".

Gigantyczna pałka

Tylko raz w ostatnich paru latach sutenerzy w Polsce wyglądali, jakby nadążali za czasami. Małżeństwo ze stolicy stworzyło bowiem platformę internetową. System działał jak aplikacja. Klient wpisywał preferencje, a telefonistka umawiała go z dziewczyną w mieszkaniu.

Policja weszła do mieszkania właścicieli i znalazła sejf. W sejfie – milion złotych. Media grzmiały: „mafia na gigantyczną skalę".

Ale milion to oszczędności z kilku lat. Roczny zysk – 200 tys. Po 8–9 tys. na głowę miesięcznie. Kwota przyzwoita, ale nieumywająca się do kasy zarabianej nawet na podrzędnych stanowiskach w banku.

Policja pokazała na zdjęciach łup: 12 telefonów, dwa tablety, kilkanaście kart SIM i sejf. W komunikacie stwierdzenie – „gigantyczny majątek". W praktyce – równowartość mieszkania w Piasecznie.

Podczas przesłuchania małżeństwo tłumaczyło, że to, czym się zajmowali, „robili dla bezpieczeństwa dziewczyn". Prokurator odczytał zarzuty, a oni kiwali głowami.

Każda sprawa wyglądała podobnie. Szósta rano, antyterroryści w kominiarkach, sąsiedzi w drzwiach, dzieci płaczące w oknach. Zabezpieczone telefony, parę tysięcy złotych, zegarek Casio i paczka prezerwatyw.

Za każdym jednak razem konferencje prasowe brzmiały jak autopromocja. Rzecznicy mówili „rozbiliśmy groźną grupę przestępczą", „cios w mafię", „uczyniła sobie stałe źródło dochodu". Dziennikarze pytali: ile zarobili? Odpowiedź – milion. I nikt nie próbował zmagać się z tematem arytmetycznie. Dzięki temu nikt nie mógł zarzucić policji, że wszystkie te sprawy są nader źle poprowadzone. Bo gdyby były badane profesjonalnie, to śledczy nie ośmieszaliby się, pokazując gigantyczne łupy w postaci zegarka, pałki teleskopowej, kwoty, która co wieczór nosi do banku pani z warzywniaka i 100 telefonów, z których połowa nie działała.

I gdyby chcieć uwierzyć policji, to wyszłoby, że alfons w Polsce to sfrustrowany obywatel, który po kilku latach kombinowania zostaje z wyrokiem i bilansem niewiele większym niż 800 plus.

TOMASZ BOROWIECKI

Życie w dobrobycie

● Jajogłowi od ekonomii drapią się po głowach i pytają, jak to możliwe, że kraj, w którym niemal co drugi obywatel ma dyplom wyższej uczelni, jest w europejskim ogonie, jeśli chodzi o szkolenia w pracy? „Choć pod względem liczby osób z wyższym wykształceniem należymy do europejskiej czołówki, po wejściu na rynek pracy pozwalamy, by nasze umiejętności rdzewiały" – piszą autorzy raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego. Wygląda więc na to, że Polacy są tak mądrzy, że więcej wiedzy im nie potrzeba. A może raczej – mamy takie technologie, w których od króla Ćwieczka nic się nie zmieniło i szkolić nie ma kogo ani w czym. Tymczasem według Światowego Forum Ekonomicznego w ciągu kilku lat co czwarty pracownik na świecie będzie zmuszony zmienić zawód. A u nas? W 2024 r. tylko 23,5 proc. Polaków w wieku 25–64 lata brało udział w edukacji lub szkoleniach. Osiem punktów procentowych poniżej średniej unijnej. Lepsi od nas są nawet Węgrzy i Słowacy. Bo w Polsce szkolenie traktuje się jak zło konieczne. Ponad dwie trzecie uczących się robi to, bo musi, żeby nadążyć za obowiązkami. Tylko 10 proc. rozwija się z myślą o awansie. Efekt? „Erozja kompetencji, niższa innowacyjność i gospodarka, która może wkrótce nie nadążać za zmianami technologicznymi". Tylko 26,1 proc. firm w Polsce prowadzi szkolenia zawodowe. W Unii – ponad połowa. Bo po co wydawać na pracownika, skoro można go zwolnić i przyjąć gotowca z rynku? – tak działa nasz rynek pracy, niezależnie od tego, co w rządowych mediach opowiadają o „rynku pracownika". Pracownicy też nie czują potrzeby rozwoju. Według badań OECD tylko 6,2 proc. Polaków uważa, że ma braki kompetencyjne – najmniej w całym zestawieniu. W Finlandii czy Estonii takich osób jest pięć razy więcej. Znaczy, że tam ludzie wiedzą, że się uczą całe życie. A u nas – że już wszystko wiedzą. Nic dziwnego, że w Polsce jedna trzecia pracowników ostatni raz była na szkoleniu ponad pięć lat temu. I to krótkim, bo aż 94 proc. kursów trwa maksymalnie tydzień. Skandynawia pokazuje, że można inaczej. Tam nauka jest wpisana w czas pracy, a 60–65 proc. dorosłych bierze udział w szkoleniach. U nas, jeśli szkolenie się odbywa, to po godzinach i na własny koszt. Bo polski biznes nauczył się jednego – że inwestycja w człowieka się nie opłaca.

● Allegro to udowadnia. I gdy w korporacyjnych mailach do pracowników roi się od słów o „konsolidacji zespołów i kompetencji", a zarząd zapewnia, że to „wspólna praca jest fundamentem innowacyjności", to wiadomo, że ktoś właśnie pakuje kartony. Oficjalnie wygląda to wzorcowo: od stycznia 2026 r. pracownicy mają wrócić do biur w modelu 4:1 – cztery dni przy biurku, jeden w domu. Tylko że dwa biura zostaną zamknięte, więc część ludzi nie bardzo ma dokąd wracać. Związek zawodowy Allegro nazwał to „sprzecznością i niezrozumiałą logiką korporacyjną, za którą może stać chęć ograniczenia liczby pracowników". W przekładzie na polski: kogo nie da się zwolnić, ten sam się zwolni. Bo jak ktoś mieszka we Wrocławiu, a biuro zostaje w Warszawie, to nawet 40 tys. zł „na relokację" nie uczyni cudów. Zarząd oczywiście zapewnia, że wszystko jest w porządku. „Powrót do biur to tylko jedna z wielu inicjatyw" – mówi rzecznik firmy. I dalej: „Potrzebujemy pełnej mobilizacji i koncentracji na najważniejszych celach". Brzmi jak przemówienie motywacyjne z podręcznika dla menedżerów, w którym ostatni rozdział nosi tytuł „Jak mówić o zwolnieniach, żeby nikt się nie zorientował". Na GoWorku anonimowi allegrowicze piszą, że to sposób na „samowolne zwolnienia". Czyli jak ktoś nie da rady dojeżdżać cztery razy w tygodniu przez pół Polski, to sam odejdzie. I jeszcze dostanie podziękowanie za zrozumienie misji firmy. Wszystko to dzieje się w czasach, gdy politycy opowiadają o skracaniu tygodnia pracy, a firmy chwalą się, że dbają o dobrostan pracownika. Allegro najwyraźniej uznało, że dobrostan to stan, w którym człowiek sam się zwalnia, więc nikt nie musi tego robić za niego.

● Z telewizorów i rządowych konferencji płyną zapewnienia, że jesteśmy 20. gospodarką świata i już za rogiem czai się świetlana przyszłość. Tymczasem po kraju niesie się słowo, którego nie słyszano tu od lat – bezrobocie. GUS podaje, że ponad 150 dużych firm zgłosiło zamiar zwolnienia ponad 77 tys. pracowników. Fala nie omija nikogo – ani państwowych kolosów, ani prywatnych gigantów. Eksperci zauważają, że najwięcej redukcji dotyczy sektora publicznego – cięcia planują PKP Cargo i Poczta Polska. A że państwowe, to znaczy nasze, to i zwolnienia można potraktować jako przejaw wspólnego wysiłku na rzecz „optymalizacji zatrudnienia". W tyle nie pozostają i firmy prywatne. Makro, Fujitsu, Shell, Heineken, Aldi – same nazwy, które dotychczas miały gwarantować stabilność, dziś pojawiają się w rubryce „zwolnienia grupowe". W Krakowie, niegdyś chwalonym za rozwój centrów usług i technologii, zagrożonych pracą jest blisko 4 tys. osób. Zwalniają informatycy, księgowi, doradcy podatkowi i konsultanci. Ci, których jeszcze niedawno nazywano „kreatywną klasą średnią". Dane z urzędów pracy: to wierzchołek góry lodowej. Rzeczywista skala zwolnień w Polsce jest znacznie większa niż ta wynikająca wyłącznie ze zgłoszeń – twierdzą analitycy rynku pracy. Wielkie kłopoty widać też w branży motoryzacyjnej. W zeszłym roku w Europie zniknęło 54 tys. miejsc pracy. W tym tyle samo. A Polska jest jednym z największych eksporterów części w Europie. Spadek produkcji aut oznacza spadek zamówień u dostawców. Ale można oczywiście wierzyć w opowieść o polskim cudzie gospodarczym, w którym bezrobocie to tylko przejaw „dynamicznej transformacji rynku pracy".

TTJ

eprasa.pl 9bba2651f1

Pokojowy Nobel dla prowojennej aktywistki

Kapitalistka wiodąca lud na barykady

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Przyznanie Pokojowej Nagrody Nobla Marí Corinie Machado potwierdza schemat powtarzający się od wielu lat: nagradza się postacie, które usprawiedliwiają albo same promują wojny, sankcje, blokady i interwencje wojskowe.

Przypomnijmy najważniejsze. Henry Kissinger, nagrodzony w 1973 r., był bezpośrednio odpowiedzialny za bombardowanie Wietnamu, Laosu i Kambodży, promował operację Kondor w Ameryce Łacińskiej i wspierał zamach w Chile przeciw prezydentowi Allende. Shimon Peres, laureat z 1994 r., w 1996 wydał rozkaz przeprowadzenia operacji Grona Gniewu, w wyniku której doszło do masakry ludności cywilnej w Libanie, a także współpracował z apartheidem w RPA i należał do pomysłodawców blokady Strefy Gazy. Barack Obama, nagrodzony w 2009 r., wysłał wojska do Afganistanu, zniszczył Libię, utrzymał otwartą bazę w Guantanamo, przeprowadzał masowe deportacje i wzmacniał sojusz wojskowy z Izraelem.

Warto może przy okazji wspomnieć Benito Mussoliniego nominowanego do tej nagrody w 1935 r. za „działania pokojowe" po inwazji na Etiopię i Adolfa Hitlera nominowanego w 1939 r.

W tym roku Pokojowa Nagroda Nobla ma na celu usprawiedliwienie i utorowanie drogi interwencji USA w Wenezueli.

Za amerykański grosz

Waszyngtonowi zależy na odzyskaniu wenezuelskiej ropy naftowej. Jej złoża są niezwykle wysokiej jakości i znajdują się w niewielkiej odległości od Stanów Zjednoczonych. Oznaczałoby to obniżenie kosztów transportu (względem Kuwejtu) i – w porównaniu z obecnym importem – bardzo wysokie marże zysku. Poza tym obalenie legalnie wybranego prezydenta Maduro byłoby potężnym ciosem w zaangażowanie gospodarcze i polityczne Chin, Iranu i Rosji na kontynencie południowoamerykańskim.

W sumie pokojowy Nobel w tym roku nie przynosi pokoju – a raczej napięcie i zagrożenie wojną w Wenezueli.

Kariera polityczna Marí Coriny Machado, kompletnie odmienna od jej wizerunku propagowanego przez międzynarodowe media, naznaczona jest nieudanymi zamachami stanu, manipulacjami i katastrofami politycznymi, które często rozczarowywały nawet niektórych jej zwolenników.

Swoją działalność Machado rozpoczęła od udziału w zamachu stanu w 2002 r., kiedy podpisała Dekret Carmony, który miał ugruntować jej silną pozycję wśród skrajnej prawicy.

Następnie założyła organizację pozarządową Sumate, finansowaną przez amerykańskie agencje, takie jak National Endowment for Democracy, USAID i National Democratic Institute – i za ich pośrednictwem zorganizowała nieudany na szczęście strajk naftowy, będący próbą zdławienia gospodarki kraju.

Między Mołotowem a Muskiem

W 2014 r. była jednym z głównych pomysłodawców planu La Salida, który doprowadził do rozpętania brutalnych guarimbas, czyli spirali przemocy na ulicach wenezuelskich miast.

Guarimbas były to barykady uliczne na szlakach komunikacyjnych; ich celem było utrudnianie ruchu pojazdów i ludzi, często za pomocą koktajli Mołotowa.

Te działania terrorystyczne, które bardzo popierała Machado i których celem było zniszczenie porządku konstytucyjnego i obalenie rządu prezydenta Nicolasa Maduro, doprowadziły do śmierci ponad 40 osób. Podpalono publiczne przedszkole i ośrodki publicznej służby zdrowia, których pracowników przetrzymywano wewnątrz, grożąc im śmiercią i stosując wobec nich przemoc. Atakowano i zniszczono obiekty zapewniające podstawowe usługi publiczne: obok przychodni także szkoły, uczelnie, budynki służące do przechowywania i dystrybucji taniej żywności, elektrownie, stacje uzdatniania wody i infrastrukturę związaną z transportem publicznym.

Wszystkie te działania zostały przemilczane lub wypaczone przez media, a nawet przez niektóre międzynarodowe organizacje praw człowieka.

Teraz główna inicjatorka tej agresji została nagrodzona Pokojową Nagrodą Nobla.

Udokumentowana jest także jej prośba o interwencję militarną w Wenezueli, skierowana w 2014 r. do Organizacji Państw Amerykańskich, a w 2018 r. do premiera Izraela Beniamina Netanjahu, odpowiedzialnego za ludobójstwo w Strefie Gazy. Machado opowiada się bezkrytycznie po stronie Izraela i Netanjahu.

W marcu 2025 r. pojawiły się również oskarżenia, że Machado zaoferowała Elonowi Muskowi strategiczne wenezuelskie aktywa, w tym pola naftowe, infrastrukturę krajowego systemu elektroenergetycznego i obszary o znaczeniu strategicznym – trudno się dziwić, że czyn ten uznano za zdradę stanu.

Złoto, ropa, dragi

Machado jest również oskarżona o współudział w grabieży gospodarczej kraju poprzez udział w transferze aktywów spółki naftowej CITGO i chemiczno-naftowej Monomeros w obce ręce, a także w zablokowaniu przez Wielką Brytanię 31 ton wenezuelskiego złota. Łączne straty gospodarcze wynikające z tych działań szacowane się na 140 mld dol.

Nadanie Nagrody Nobla Corinie Machado nietrudno połączyć z obecnością amerykańskiej floty wojennej u wybrzeży Wenezueli. Akcje USA wymierzone w Wenezuelę prowadzone są pod pretekstem walki z przemytem narkotyków – co nadaje szczególny wymiar powiązaniom Coriny Machado z kolumbijskimi gangami narkotykowymi, a także jej osobistej znajomości z byłym prezydentem Kolumbii Álvaro Uribe Vélezem, związanym zarówno z mafią narkotykową, jak i szwadronami śmierci.

Ewentualne rządy Machado, pochodzącej z jednej z najbogatszych rodzin w kraju entuzjastki totalnie wolnego rynku, oznaczałyby likwidację wszystkich osiągnięć Hugo Cháveza i Nicolasa Maduro w zakresie polityki społecznej – a wraz z nią likwidację publicznej służby zdrowia i państwowego systemu oświaty, odejście od działań na rzecz wyrównania nierówności społecznych.

Jest ona rzeczniczką całkowitej prywatyzacji gospodarki, przede wszystkim wydobycia i eksportu ropy naftowej. Jej naczelnym postulatem jest przekazanie koncernom zachodnim państwowego przedsiębiorstwa PDVSA – a więc pozbawienie Wenezueli 70 proc. wpływów budżetowych, które generuje to przedsiębiorstwo.

Na koniec warto przytoczyć wypowiedź Luciano Vasapollo, znanego włoskiego ekonomisty, specjalisty od gospodarki południowoamerykańskiej i międzynarodowego obserwatora wyborów w Wenezueli: „Przyznanie tak poważnej nagrody komuś, kto podsycał wewnętrzne napięcia, mogłoby zapewnić moralne uzasadnienie dla tych, którzy próbują interweniować z zewnątrz".

ANDRZEJ ULMER

W imię cierpiącego narodu Wenezueli

Polityczna Nagroda Nobla

Pokojowa Nagroda Nobla, jak sama nazwa wskazuje, ma być przyznawana za szczególne zasługi dla pokoju – zwłaszcza za rozwiązywanie konfliktów. W praktyce jest to przeważnie nagroda przyznawana według ściśle politycznych kryteriów, na podstawie politycznych poglądów członków noblowskiego komitetu.

Noblistka-opozycjonistka

Tegoroczna laureatka, wenezuelska opozycjonistka María Corina Machado, nie ma żadnych pokojowych osiągnięć, a jej działalność sprowadza się do – jak to ujęto w uzasadnieniu – „niestrudzonej działalności na rzecz praw demokratycznych narodu Wenezueli" tudzież „walki o sprawiedliwe i pokojowe przejście od dyktatury do demokracji". Trudno pojąć, w jaki sposób pani Machado ma zamiar pokojowo obalić to, co nazywa dyktaturą. Jeżeli ma na myśli zwycięstwo w wyborach – to przecież jest ono możliwe jedynie w warunkach demokracji. I co w taki razie należałoby obalać?

Z tą dyktaturą w Wenezueli to też trochę nie tak. Machado wprawdzie nie została dopuszczona do startu w ubiegłorocznych wyborach prezydenckich – ale wziął w nich udział popierany przez nią opozycyjny kandydat Edmundo González Urrutia. I przegrał z obecnym prezydentem Nicolásem Maduro. Według Narodowej Rady Wyborczej uzyskał 44 proc. głosów. Machado twierdzi jednak, że Urrutia dostał 73,2 proc., w związku z tym to on – a nie Maduro – jest legalnie wybranym prezydentem. I tak samo uważa tzw. demokratyczny świat, któremu nie podoba się, że wybory wygrywa nie ten, co powinien. Ponadto Machado nie opuściła, tak jak Swiatłana Cichanouska, swojego kraju i poza krótkotrwałym aresztowaniem w styczniu 2024 r. nie jest nękana przez władzę, którą nazywa kryminalną mafią. I cóż to za dyktatura? Czy aby na pewno za chęć jej obalenia należy się aż pokojowy Nobel?

María Corina Machado jest łowcą – czy też, jak to się ostatnio modnie mówi, łowczynią – przeróżnych nagród. W ubiegłym roku otrzymała Nagrodę Praw Człowieka im. Václava Havla, a także Nagrodę im. Andrieja Sacharowa na rzecz Wolności Myśli. Jest to zrozumiałe z punktu widzenia tych, którzy te wyróżnienia przyznają, z tym Noblem to chyba jednak przesada.

Dlaczego nie Trump

Gdyby spojrzeć na to stricte formalnie, spośród 244 zgłoszonych indywidualnych kandydatów do pokojowej nagrody najbardziej nadawałby się – i wiem, jak to brzmi – Donald Trump. W tym roku z jego inspiracji i przy pomocy jego ludzi doprowadzono do zakończenia konfliktów pomiędzy Demokratyczną Republiką Konga i Rwandą, Kambodżą i Tajlandią, Armenią i Azerbejdżanem (nawet jeśli prezydent USA myli Armenię z Albanią). Komitet Noblowski miał jednak inne zdanie. Według agencji Reuters amerykańskiemu prezydentowi nie przyznano nagrody, ponieważ „niszczy on ład międzynarodowy".

Ja też jestem przeciwko uhonorowaniu Trumpa pokojowym Noblem – jednak z zupełnie innych powodów. Trump wspierał agresję Izraela wobec ludności palestyńskiej, bombardował Iran i Jemen. Ponadto, pomimo podejmowania negocjacyjnych wysiłków, dozbrajał Ukrainę – co trudno by nazwać działaniami na rzecz pokoju. Mógł przynajmniej zachować neutralność, jak papież Franciszek.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że

Komitet Noblowski kierował się swoistą kalkulacją. Chodziło o to, aby nie nagradzać Trumpa, a jednocześnie utrudnić jemu i jego zwolennikom atakowanie osoby, która nagrodę dostała.

Trump jest w stanie ciągłej konfrontacji z Maduro – w związku z czym uhonorowanie wenezuelskiej opozycjonistki jest zgodne z jego kursem wobec Wenezueli. Warto też przypomnieć, że w styczniu tego roku Trump wyrażał się o Machado w samych superlatywach – nie wiedząc, rzecz jasna, że będzie ona jego konkurentką do Nobla. Nazwał ją działaczką na rzecz demokracji, dodając, że ona oraz Edmundo González – nazywany przez Trumpa „prezydentem elektem" – wyrażają głosy i wolę narodu wenezuelskiego przeciwko reżimowi. Machado zrewanżowała się Trumpowi, oświadczając, że dedykuje mu nagrodę za jego „zdecydowane wsparcie naszej sprawy". Przy okazji zadedykowała Nobla także „cierpiącemu narodowi Wenezueli".

BOLESŁAW K. JASZCZUK

eprasa.pl 9bba2651f1

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Barbarze Nowackiej udało się wywalczyć jedną godzinę religii i to jest jej cały wielki sukces, czyli cofnęła się mentalnie do czasów stalinizmu.*** *Ona ma też pewne poparcie antyklerykałów w partii (…). Dla niej polskość, tak jak mówił premier, to jest nienormalność.* ***Myślę, że jej polityczny koniec jest bliski. Każdy, kto w historii Polski walczył czy z lekcjami religii, czy to z Kościołem, odchodził w niebyt polityczny.***

dr Artur Dąbrowski, prezes Akcji Katolickiej Archidiecezji Częstochowskiej, Radio Maryja, 8 października

■ *Chrześcijaństwo wykastrowane z obrony Prawdy zostało dzisiaj sprowadzone jedynie do „miłosierdzia". Nie jest to jednak Miłosierdzie, które umarło na Golgocie.* ***To ideologia tchórzy, którzy ubrali strach w szaty pozornej miłości, zniżając cnotę do poziomu infantylnego podlizywania się światu.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 11 października

■ *Obserwujemy dzisiaj niestety zdecydowanie porzucenie zaszczytnej misji i funkcji uniwersytetu. (…) Zamiast dążyć do prawdy, zakłamuje się tę prawdę, szydzi się z niej.* ***Jeżeli na uniwersytetach pojawiają się kierunki studiów, które zaprzeczają elementarnej, realistycznej, biologicznej, empirycznej prawdzie o tożsamości człowieka, jeżeli na uniwersytetach dominuje prymat ideologii, choćby na przykład takiej ekologicznej, nad prawdą stworzenia, jeżeli dominuje zoopersonalizm ponad prawami człowieka, jeżeli stosuje się terror dyskryminacji poprawności politycznej – to nie można wobec tego przejść obojętnie. Nie można nie tylko patrzeć, ale trzeba przeciwdziałać.***

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Radio Maryja, 5 października

■ *30 września Trybunał Konstytucyjny uznał zapisy ustawy o tzw. mowie nienawiści za niekonstytucyjne. Projekt był uderzeniem w fundamentalne wolności. (…) Próba wpisania do Kodeksu karnego przesłanek nawoływania do nienawiści obejmujących m.in. orientację seksualną to wstęp do ataku na wolność słowa. To byłby pierwszy krok.* ***Tego typu zmiany pozwoliłyby karać np. za kazania podczas Mszy św., które podkreślałyby grzeszność aktu homoseksualnego w nauczaniu Kościoła katolickiego.***

mec. Jerzy Kwaśniewski, Instytut Ordo Iuris, Radio Maryja, 1 października

■ ***Coś, co nazywa się zdrowiem, jest chorobą. To, co nazywa się edukacją zdrowotną, jest edukacją śmierci.*** *Pewnej grupie na tym zależy, żeby nie było prac domowych, żeby młodzież nic nie wiedziała, żeby była głupia, a może nawet pijana (…).* ***Jest upadek moralny, diabeł święci swoje sukcesy, jednak ostatecznie zwycięstwo należy do Pana Jezusa i do Maryi. Im mniej chrześcijaństwa, tym większa nienawiść do człowieka, tym większa nienawiść do małego dziecka.*** *Ja mam szóstkę dzieci i nie wyobrażam sobie, jak można nienawidzić własnego dziecka.*

dr Robert Pietras, ginekolog, Radio Maryja, 29 września

■ ***Kosmetyczce w dniu ślubu płaci się nawet 3 tys. zł, ceremoniarzowi świeckiemu tysiąc… ale księdzu rzucą w biurze paraf. 100 zł i jeszcze mają obiekcje, że Kościół zdziera z ludzi pieniądze.*** *Finanse w polskim Kościele wymagają zmiany – by było w końcu czytelnie i sprawiedliwie wobec katolików, którzy najbardziej utrzymują parafię.*

ks. Daniel Wachowiak, X, 9 października

KLECHA

Papież kontra obrońcy życia od poczęcia aż do kary śmierci

Lewak XIV

Kochani, mamy to! Habemus Papam! Mamy papieża – heretyka. Szybko poszło: Leon XIV nie sprostał wymaganiom świętszych od papieża i zbiera cięgi za swoje odstępstwa od świętej wiary katolickiej. Naraził się też wielbicielom Trumpa i ruchu MAGA, bo spodziewali się sprzymierzeńca – w końcu jankes – a dostali Judasza. Nie jest łatwo być papieżem w czasach social mediów i alt-rightu.

Złudne nadzieje

Robert Prevost panuje w Watykanie od maja i w ciemno dostał kredyt zaufania od katolickiej prawicy. Miał dobre papiery: Amerykanin z pochodzenia, obieżyświat z wyboru, przezroczysty w poglądach. Kościelna konserwa liczyła, że tabula rasa, jaką jest Leon XIV, zostanie zapisana po bożemu, tradycyjnie. Była nadzieja na to, że nowy papież zupełnie porzuci styl i poglądy poprzednika, Franciszka, który był wcieleniem najgorszych koszmarów tych, którzy chcą, by było tak, jak było. Prevost tych nadziei nie studził, wręcz przeciwnie – puszczał czasem oczko do tradycjonalistów, mówiąc choćby, że należy się pochylić nad tymi, którzy chcą mszy po łacinie. Jednocześnie zaznaczył, że tradycjonalistom nie tylko o język liturgii chodzi, ale i o zestaw poglądów, które nie zawsze są fajne. Ale to taka dyskusja dla teologicznych zapaleńców, z których profan mało co wyczyta.

Leon, w miarę jak rozgaszczał się w pałacu papieskim i czuł się pewniej, wygłaszał coraz więcej gorszących prawicę poglądów i wykonał tyleż bluźnierczych gestów. Amerykański papież trafił w najczulsze punkty konserwatystów (a mają ich sporo) i na starcie pogrzebał szansę na zostanie symbolem walki ze zgnilizną współczesnego świata, wszedł zaś w konszachty z lewackimi utopistami i gada tak, jakby mu sam Soros płacił. I tak oto Leon zaliczył hattricka w samobójach, wypowiadając się o ekologii, imigrantach i karze śmierci.

Są to koniki prawicowców, a przy tym rzeczy na tyle emocjonujące i nienegocjowalne, że otwierając świątobliwe usta w tych kwestiach, Prevost mógł być pewien, że będzie draka. Amerykanin na rzymskim tronie – z braku doświadczenia lub z wyrachowania – rzucił się na głęboką wodę. W iście amerykańskim stylu zaszachował swoich oponentów retorycznymi chwytami godnymi prowadzącego wieczorny show.

Bob i Arnie

Najpierw przyprawił pobożne konserwy o zawał imprezą ekologiczną. W 10. rocznicę wydania proekologicznej encykliki Franciszka „Laudato Si" w letniej rezydencji papieskiej w Castel Gandolfo zorganizowano konferencję „Rosnąca nadzieja na sprawiedliwość klimatyczną", na której wystąpił obok papieża inny sławny Amerykanin (austriackiego pochodzenia) Arnold Schwarzenegger, były gubernator i Terminator, aktualnie piewca zielonej energii. Ot, wydarzenie jak wydarzenie – elity spotykają się, by pobiadać nad losem maluczkich i polizać się wzajem po jajach. Ale dla zwolenników Trumpa i jego „drill, baby, drill" to siarczysty policzek. Gdyby ze wzmożonych prawicowców można było pozyskiwać energię, to niepotrzebna byłaby nam fotowoltaika i inne zielone bezeceństwa.

– Należy przejść od zbierania danych do troski; od przemówień na temat ochrony środowiska do nawrócenia ekologicznego, które przemieni osobisty i wspólnotowy styl życia – mówił papież, a piewcy czarnego złota rozpalili dla niego kocioł w piekle, suto podkładając węgla. W dodatku podczas eventu papież pobłogosławił bryłę lodu z Grenlandii – symbol topnienia lodowców – co poczytano mu z kolei za pogaństwo i kontynuację bluźnierstw poprzednika, który na rozpoczęciu Synodu Amazońskiego uczcił figurę inkaskiej bogini ziemi Pachamamy.

Papież nie rzuca słów na wiatr: na 430-hektarowej działce należącej do Watykanu powstaje ogromna farma agrofotowoltaiczna – łącząca produkcję energii słonecznej z wykorzystaniem terenu do celów rolniczych. Do 2026 r. Watykan ma się stać w pełni niezależny energetycznie i neutralny klimatycznie.

Polacy nie gorsi: diecezja płocka wespół z toruńską jest właścicielem spółki, która na 8,5 ha zbudowała farmę fotowoltaiczną na ponad 9 tys. paneli i planuje rozbudowę o kolejne 3 hektary. Skoro kler interesuje się odnawialnymi źródłami energii, to chyba nie może być taka zła inwestycja. Ciężko uwierzyć w idealistyczne pobudki wierchuszki Watykanu, a tym bardziej polskiej hierarchii.

Leon zawodowiec

Leon dał trumpistom kolejnego prztyczka w nos zapytany o komentarz ws. nagrody od amerykańskiego kardynała Blase'a Cupicha dla senatora z Illinois Dicka Durbina. Demokrata ten zaangażowany jest w pomoc imigrantom, ale przy okazji jest za aborcją, co – zdaniem ortodoksów – dyskwalifikuje go w wyścigu o katolicką nagrodę. Kardynał też taki nie za bardzo, bo wspiera LGBT. Papież skomentował to niczym wytrawny rabin: – Ktoś kto mówi: jestem przeciwko aborcji, ale zgadzam się na nieludzkie traktowanie migrantów w Stanach Zjednoczonych, nie wiem, czy to jest pro-life. A także: – Ktoś, kto mówi: jestem przeciwko aborcji, ale jest za karą śmierci, nie jest tak naprawdę pro-life.

Papież zadał prawakom dwa ciosy naraz. Ci zaś uznali, że to ciosy poniżej pasa, a Prevost miesza systemy walutowe. Porównanie aborcji do kary śmierci uważają za co najmniej niestosowne, a już na pewno niekatolickie. Przywołują liczne rozprawy teologów, którzy uważają, że są to zupełnie różne sprawy, bo w przypadku aborcji dochodzi do mordowania niewinnego życia, a w przypadku kary śmierci mamy do czynienia ze zbrodniarzem, któremu zresztą po chrześcijańsku daje się czas na nawrócenie i uniknięcie piekła. Wiedzą swoje, wiedzą lepiej. Papież jest nieomylny tylko wtedy, gdy zgadza się z gwiazdami prawicy.

Uchodźcy od rozumu

Z imigrantami to jeszcze ciekawsza sprawa. Z polskiej perspektywy może to wyglądać tak, jakby Leon XIV został lewackim aktywistą i zbijał piątki z Agnieszką Holland. Ale szef Kościoła kat. myśli o żywotnym interesie swojej instytucji:

w Stanach to właśnie imigranci stanowią potężny odsetek katolików, nie szczędzą grosza i obecności w kościołach. Popieranie antyimigranckiej nagonki Trumpa papieżowi by się po prostu nie opłacało. W Polsce z tym samym skutkiem Rydzyk mógłby wytoczyć krucjatę przeciwko starszym paniom.

Tymczasem nadwiślańskie oddziały MAGA rzuciły się papieżowi do gardła, w czym mają wprawę, bo na Franciszku wieszały tyle psów, że można by obdzielić niejedno schronisko.

„Zamiast rzetelnej chrześcijańskiej analizy problemu otrzymujemy propagandową narrację, której nie mógłby się powstydzić lewicowy polityk. To nie jest godne Wikariusza Chrystusa, bo buduje jednostronny, zbyt lewicowy obraz rzeczywistości" – trapi się intelektualną i moralną kondycją Leona XIV Fronda.pl. Żeby odbudować choć część autorytetu w oczach polskiej prawicy, Prevost musiałby chyba mianować Jędraszewskiego kardynałem, a i to nie daje gwarancji na udobruchanie focha naszych rozkapryszonych chłopców.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Burdel na krzyżykach

Księżom zbiera się na amory

W Kościele wszystko na bakier: jesień w pełni, a ci podnieceni jak na wiosnę.

Odejście z zakonu ogłosił znany dominikanin Wojciech Jędrzejewski. Popularny rekolekcjonista i pisarz jako duszpasterz akademicki miał zapewne mnóstwo pokus. Nikt przecież tak nie rozumie zagubionych studentek jak mnich. Od października ubiegłego roku pozostawał w zawieszeniu, a teraz ogłosił, że zrzuca habit, ale chce to zrobić za porozumieniem stron.

„Odejście z zakonu i ze stanu duchownego jest moją osobistą decyzją. Decyzja ta wiąże się z łamaniem zakonnych ślubów czystości, do której się zobowiązałem. Przepraszam tych, których zawiodłem, i proszę o modlitwę. Katolicyzm był i pozostaje przestrzenią mojego przeżywania Boga" – napisał w krótkim oświadczeniu.

Jędrzejewski chce zjeść ciastko i mieć ciastko – poprosił o przeniesienie do stanu świeckiego i papież w przypływie dobrego humoru może mu nawet pozwolić na żeniaczkę. Były dominikanin przypucował się wszakże, że nie utrzymał przyrodzenia na wodzy, jak obiecał, nie doprecyzowując jednak, jak te śluby łamał. Tyle dobrego, że – z tego, co wiadomo – tym razem nie chodziło o dzieci.

Nieco inaczej sublimuje popęd seksualny ks. Rafał Główczyński, używający pseudonimu „Ksiądz z osiedla". Na pielgrzymkach i innych kościelnych wydarzeniach ludzie znają go też pod ksywą „ksiądz mefedron" – tyle ma niespożytej energii, jakby był pod wpływem stymulantów. Ks. Rafał ciągle coś robi, a jak nie robi, to mówi. Gada tyle, że dostał już upomnienie od władz swojego zakonu. Salwatorianie poprosili go, aby przy słowotoku czasem także myślał – tak jak matka Kościół nakazuje. Główczyński jest gwiazdą katolickiej części TikToka, a ten serwis wymaga prostoty i skrótowości. Zbyt mgliście powiedział o aborcji i został przytemperowany. Ale się nie uspokoił.

„Ksiądz z osiedla" ma wielkie ambicje. Niedawno został restauratorem.

– Na Zachodzie panuje trend, że w opuszczonych kościołach powstają kluby nocne. My ten trend odwracamy; w miejscu, w którym dawniej mieściła się agencja towarzyska, stworzymy ewangelizacyjną klubokawiarnię – zapowiedział na YouTube. Przy ul. Żurawiej 22 w Warszawie powstał lokal bez ustalonego cennika i bez alkoholu. Tam, gdzie wcześniej tańczyły roznegliżowane panienki, dziś słychać modlitwy. Co więcej,

ks. Główczyński otworzył konto na OnlyFans – czyli platformie służącej głównie do sprzedawania treści erotycznych. Zbiera tam pieniądze na swoje fantazje, ale rozbieranych fotek (na razie) nie oferuje.

– Pan Jezus też chodził do celników, do grzeszników i do prostytutek. Chodził do miejsc kojarzonych z grzechem, gdzie współcześni mu „porządni Żydzi" chodzić nie chcieli. Dlatego ja chcę, tak jak On, wchodzić w takie miejsca, które się kojarzą z grzechem, i tam o Nim mówić – tłumaczy ks. Rafał.

Wszystko fajnie: niby innowacyjnie, niby prowokacyjnie, ale gdzieś już to widzieliśmy. Jest w Łodzi taki ks. Michał Misiak, co po burdelach z kolędą chodził. Pisali o nim, jaki to odważny i pobożny kapłan, który kobiety upadłe podnosi. Misiak, tak jak Główczyński, wiele miał pomysłów, a najbardziej to się chciał ożenić. Prosił o zwolnienie z celibatu, ale nic nie wskórał. Ochrzcił się w końcu u protestantów, czym ściągnął na siebie ekskomunikę. Pojechał na misję do Afryki, ale chyba mu nie szło, bo wrócił z podkulonym ogonem do punktu wyjścia, czyli do Łodzi. Kardynał Ryś mu przebaczył i przyjął z powrotem do firmy, ale teraz jest zaledwie skromnym kapelanem w szpitalu. Nie od dziś wiadomo, że przygody w burdelu mogą się skończyć szpitalem, ale księża zawsze mądrzejsi.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

MATT KOBOSKO

eprasa.pl 9bba2651f1

Człowiek też koń

Pięciobój nowoczesny staje się coraz nowocześniejszy

Pięciobój nowoczesny wcale nie jest taki nowy, jak by wskazywała jego nazwa. Wymyślił go – a jakże – twórca nowożytnych igrzysk olimpijskich baron Pierre de Coubertin. Miał zastąpić dyscypliny pięcioboju antycznego – bieg, zapasy, skok w dal, rzut oszczepem i rzut dyskiem – pięcioma innymi, bardziej współczesnymi, jak szermierka na szpady, strzelanie z pistoletu, pływanie, konne skoki przez przeszkody i bieg przełajowy. Dlatego właśnie nazwano go nowoczesnym, w odróżnieniu od antycznego.

Pięciobój nowoczesny nazywany był także pięciobojem oficerskim, bo łączył dyscypliny niezbędne dobremu oficerowi z czasów barona de Coubertina. Jego powstaniu towarzyszyła XIX-wieczna legenda. Młodego oficera francuskiej kawalerii wysłano z pilnym rozkazem. Aby go dostarczyć, ruszył konno, po drodze musiał stoczyć walkę na pistolety, na szpady, przepłynąć staw i dopiero dostarczyć ważną przesyłkę, biegnąc. W regulaminie pięcioboju nowoczesnego, który ja znałem i opisywałem jako dziennikarz sportowy, kolejność prób była inna, a na każdą przeznaczano jeden dzień. Zawody, jak w legendzie, kończył bieg przełajowy, a sportowcy docierali do mety skrajnie wyczerpani.

Pyciak vel Peciak

Polski pięciobój nowoczesny był znakomity. Janusz Gerard Pyciak vel Peciak, którego miałem zaszczyt znać osobiście, był złotym medalistą olimpijskim z Montrealu (1976 r.) i pięciokrotnym mistrzem świata indywidualnie i drużynowo, bo zawody rozgrywano także w formule drużynowej. Silnym wsparciem i groźnym krajowym konkurentem dla Gerarda (prywatnie używał tylko drugiego imienia) był nieżyjący już Zbigniew Pacelt.

Gerard Peciak jest człowiekiem nie tylko inteligentnym, ale też bardzo interesującym. Pamiętam, jak rozmowa, którą z nim przeprowadzałem dla gazety, przeciągnęła się bardzo długo, tak że zakończyła u mnie w domu, gdzie moja żona przygotowała dla nas smaczną kolację.

Po zakończeniu kariery Gerard wyjechał do Stanów, gdzie trenował tamtejszych pięcioboistów. Nie wiem, dlaczego poglądy Polonusów zawsze skręcają na prawo i w późniejszym okresie należał do komitetu popierającego wybór Lecha Kaczyńskiego na prezydenta RP. W czasach, w których się znaliśmy, ani on, ani ja nie mieliśmy sprecyzowanych poglądów politycznych, bo wówczas w PRL właściwie prawie nikt ich nie miał.

Zapewne dziś poglądy polityczne bardzo nas różnią, nie zmienia to faktu, że zawsze będę dobrze i ciepło myślał o Gerardzie, tym bardziej że w bardzo ważnym okresie dla naszego sportu potrafił wykazać się czymś, co nazywamy cywilną odwagą. Wiele państw zachodnich, w tym USA, zbojkotowało igrzyska olimpijskie w Moskwie w 1980 r. Chodziło o agresję ZSRR na Afganistan. W odwecie władze naszego wielkiego brata postanowiły nie wysyłać ekipy na kolejne igrzyska do Los Angeles i nakazały to samo wszystkim demoludom.

Polski minister sportu (nie pamiętam, jak wówczas instytucja się nazywała) Marian Renke mówił do nas, dziennikarzy: „Co ja, kurwa, mogę poradzić? Przecież nam szczególnie zależy, żeby pokazać światu, iż stan wojenny się skończył i znów panuje u nas wolność oraz demokracja”. Gerard też nic nie mógł poradzić, ale przynajmniej on i Irena Szewińska oficjalnie i głośno zaprotestowali podczas posiedzenia Polskiego Komitetu Olimpijskiego.

Pamiętam, że zawsze wszystkich interesowało nazwisko, a właściwie dwa nazwiska mistrza olimpijskiego. Dlaczego Pyciak vel Peciak. W Polsce to nie jest wyjątek, żeby wspomnieć wiceministra spraw zagranicznych z czasów PiS Szymona Sękowskiego vel Sęka. Mój znajomy (nazwiska nie podaję, bo nie wiem, czy sobie życzy) tłumaczył, że takie połączenie powstało u niego przez niewiedzę carskiego urzędnika z czasów zaborów. Królestwo Polskie było głęboką prowincją Imperium Rosyjskiego i wysyłano tam często mało rozgarniętych kancelistów, niezbyt biegłych w łacińskim alfabecie. Carski urzędnik nie był pewien, co jest nazwiskiem, a co miejscem urodzenia obywatela, poszedł linii najmniejszego oporu i wpisał do dokumentów „vel” czyli „albo” i tak już zostało do dziś.

U Gerarda sprawy miały się inaczej. W okresie międzywojennym jego ojciec wyemigrował do Francji. Podczas II wojny światowej został ranny i przewieziono go do szpitala. Jego dokumenty były zakrwawione i nie potrafiono ich dokładnie odczytać. Dlatego zapisano dwie wersje nazwiska.

Po wojnie Stefan Pyciak vel Peciak chciał zmienić dokumenty, ale mu odmówiono. Dopiero po wielu latach mistrz olimpijski Gerard zdołał powrócić do oryginalnego nazwiska: Peciak.

Miłość dla konia, litość dla jeźdźca

Wracamy do pięcioboju nowoczesnego. Dyscyplina zadebiutowała podczas igrzysk olimpijskich w Sztokholmie (1912 r.) i jest w programie do dziś, choć nie raz i nie dwa pojawiały się głosy, żeby ją wykluczyć, bo przez rozgrywanie jej w ciągu pięciu dni stała się mało atrakcyjna dla widzów, a w dodatku startują w niej przeważnie sportowcy europejscy.

Pięciobój nowoczesny uratował swój olimpijski byt, ale musiały nastąpić zmiany. Najpierw skrócono go o jeden dzień, a później zdecydowano się na format jednodniowy i połączenie biegania ze strzelaniem, co przypomina nieco biathlon. Decydujący o kształcie pięcioboju panie i panowie z międzynarodowej federacji wykazali nieco litości dla zawodników: skrócono dystans pływania z 300 do 200 m, a biegu przełajowego z 3 do 2 km.

Podczas igrzysk olimpijskich w Tokio w 2021 r. (powinny się odbyć tok wcześniej, ale uniemożliwił to koronawirus) niemiecka pięcioboistka Annika Schleu – jak przystało na wojskową konkurencję, oberfeldwebel Bundeswery – miała wyjątkowego pecha. Prowadziła w klasyfikacji po szermierce i pływaniu, ale na parkourze wylosowała konia Saint Boy, który ni cholery nie miał ochoty skakać przez przeszkody. Wyłamał raz, drugi. Surowa pani sierżant, która umiała poskramiać niepokornych wojaków, nie miała zamiaru dać się złamać jakiemuś wierzchowcowi: siekała go palcatem, bodła ostrogami, ale koń był uparty. Zaparł się przed przeszkodą po raz trzeci i zawodniczka, która wcześniej zgromadziła worek medali mistrzostw świata, a teraz miała szansę na olimpijskie złoto, została zdyskwalifikowana.

Wydarzenie to spowodowało lawinę protestów obrońców praw zwierząt – tym bardziej że słyszeli, jak trenerka Schleu wydzierała się do zawodniczki, żeby konia uderzała właściwie, cokolwiek to miało znaczyć. Początkowo wydawało się, że sprawa rozejdzie się po kościach. Annice Schleu zwrócono tylko uwagę, żeby na przyszłość oszczędniej posługiwała się palcatem i ostrogami.

Jednak im dalej było od tokijskich igrzysk, tym więcej było głosów biorących w obronę zwierzęta uczestniczące w zawodach sportowych. Nie mówiono już tylko o pięcioboju nowoczesnym, ale także o innych zawodach z udziałem koni. Myślę, że niejeden sportowiec – człowiek pozazdrościć mógł koniom takich adwokatów. Przecież nikt nie bierze w obronę zawodowców, których zmusza się do startów w coraz częstszych zawodach na różnych kontynentach i w różnych strefach czasowych. W efekcie pod koniec sezonu zdarzają się kontuzje, a nawet świetnie wytrenowane organizmy odmawiają posłuszeństwa, czego najświeższym przykładem była gra Igi Świątek podczas chińskiego tournée. Znana z ambicji polska tenisistka była tam jak gdyby nieobecna duchem.

Ktoś powie – taki sobie sportowcy wybrali zawód. Zarabiają krocie, więc niech nie narzekają, tylko zasuwają. To prawda. Tyle że zazwyczaj nie oni wybierali tę robotę, ale decydowali za nich rodzice.

Małoletnie pociechy na początkowe treningi przychodziły jak na zabawę, a gdy się okazało, że to już nie zabawa, zwykle było za późno, żeby się wycofać. Nie zmienia to faktu, że zawsze mogą zrezygnować, a koń nie ma takiej szansy. Albo będzie biegać i skakać, albo pojedzie ciężarówką do kraju, w którym wysoko cenią walory smakowe koniny.

O tym, że w pięcioboju nowoczesnym zrezygnowano ze skoków przez przeszkody (na razie obligatoryjnie w rywalizacji juniorów) zdecydowały dwa czynniki. Dostarczone przez organizatora konie trzeba było losować. Taszczenie własnego wierzchowca śrubowałoby niebywale koszty. Naczelną zasadą sportu jest równość szans. Losowanie koni żadnej równości nie gwarantowało, bo koń koniowi nierówny, co dobitnie wykazał Saint Boy. Żeby być w zgodzie z historią oficerskiej dyscypliny, dodawano zawsze, że XIX-wieczny konny posłaniec też musiał korzystać z tego, co mu akurat podstawiono, a nie z własnego wierzchowca.

Drugim czynnikiem był właśnie wspomniany dobrostan zwierzęcia – i tu powracał przykład niemieckiej oberfeldwebel Schleu i jej wierzchowca Saint Boya wysmaganego palcatem i pokłutego ostrogami.

Ninja olimpijska

Skoro nie wolno męczyć zwierząt – postanowiono pomęczyć ludzi. Zamiast konia z przeszkodami będzie się od teraz zmagać zawodnik.

Przeszkody bardzo przypominają to, co można oglądać podczas reality show „Ninja Warrior” na antenie Polsatu. Uczestnicy pokonują wyrafinowany tor przeszkód, wymagający nieprawdopodobnej siły, zręczności, wytrzymałości i opanowania nerwów. Każdy fałszywy krok na trasie kończy się upadkiem do znajdującego się pod nią basenu i wykluczeniem z gry.

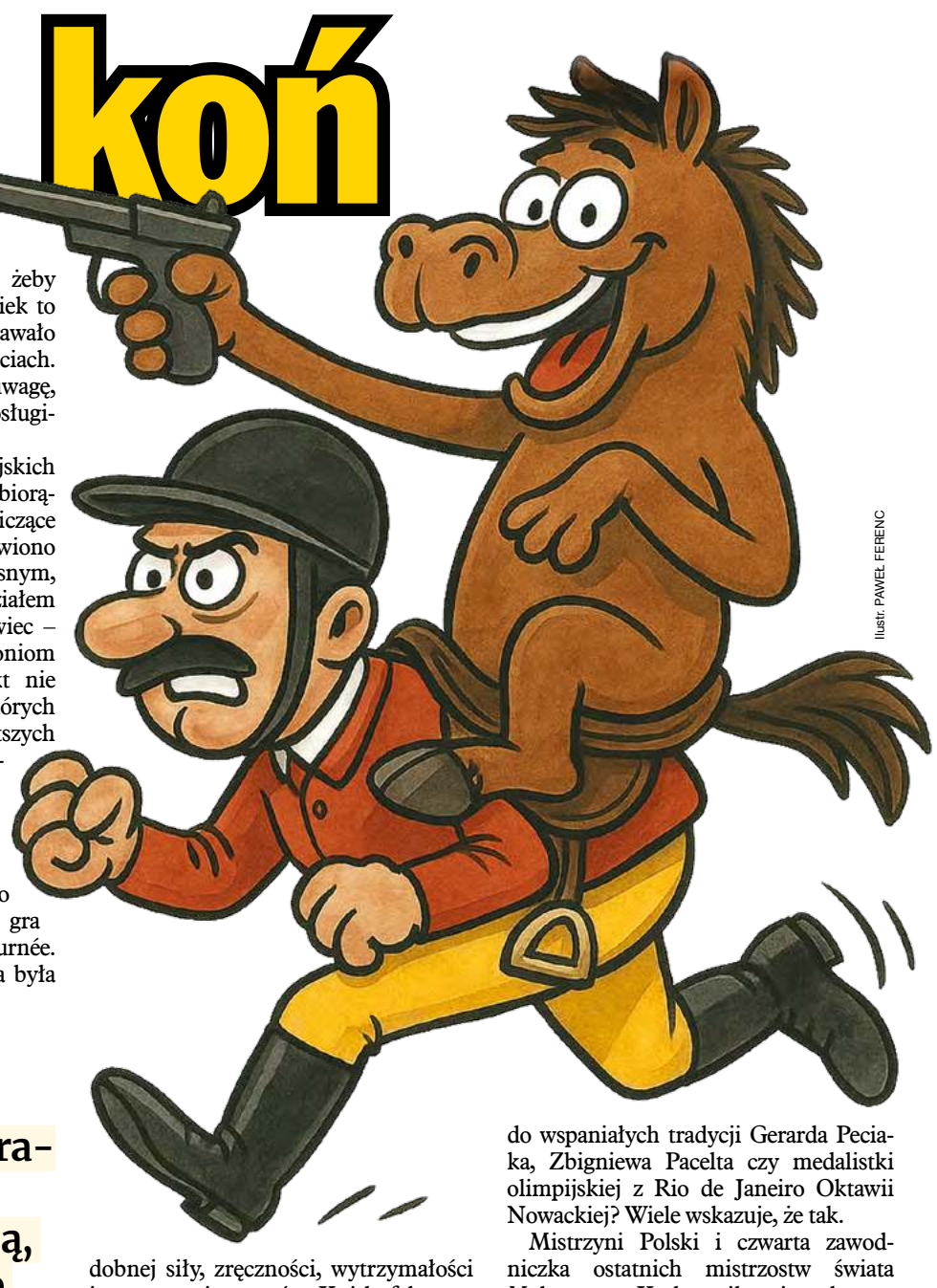

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nie są to żarty. Zdarzają się kontuzje, a podczas jednego z odcinków „Ninja Warrior” Albert Lorenz doznał złamania kręgosłupa lędźwiowego i teraz domaga się od organizatorów odszkodowania niezbędnego do pokrycia kosztów rehabilitacji; ci jednak twierdzą, że opieka gwarantowana przez NFZ powinna mu wystarczyć.

Pięciobój nowoczesny bardzo szybko się zmieniał. Zawody skracano, skracano, aż skrócono finał do dwóch godzin. Jasne, że jest to widowiskowe – a w zawodowym sporcie tylko to się liczy. Zanim zawodniczki i zawodnicy dotrą do atrakcyjnego finału, mordują się jednak przez kilka dni w eliminacjach, ćwierćfinałach i półfinałach. Dla widzów jest fajnie, dla startujących – niekoniecznie.

Pięciobój nowoczesny w nowej formule pokazano podczas igrzysk europejskich w Krakowie w 2023 r. i był to chyba jedyny pożytek z tej bezsensownej propagandowej imprezy. Polacy, o ile pamiętam, nie zdobyli medalu, ale okazało się, że ten sport może być atrakcyjny.

Oczywiście decyzja o zastąpieniu jazdy konnej torem przeszkód dla ludzi spotkała się z oporem – zwłaszcza starszych sportowców, którzy nie wyobrażają sobie, że będą się musieli uczyć czegoś zupełnie nowego. Na ich nieszczęście odezwali się potomkowie twórcy nowożytnych igrzysk olimpijskich, którzy zgodnie stwierdzili, że gdyby baron de Coubertin żył, na pewno poparłby wprowadzenie do programu nowej konkurencji. Kawaleria przeszła do historii, oficer nie musi umieć skakać konno przez przeszkody, ale zwinność oraz siła na pewno mu się przydadzą. Nie wiem dlaczego, ale zawsze trochę mnie śmieszy, gdy potomkowie kogoś sławnego mówią, co zrobiłby ich przodek, gdyby żył.

Spocznij, wolno palić

Czy w zmienionej formule pięcioboju nowoczesnego mamy szansę nawiązać do wspaniałych tradycji Gerarda Peciaka, Zbigniewa Pacelta czy medalistki olimpijskiej z Rio de Janeiro Oktawii Nowackiej? Wiele wskazuje, że tak.

Mistrzyni Polski i czwarta zawodniczka ostatnich mistrzostw świata Małgorzata Karbownik nie ukrywa, że z igrzysk olimpijskich w Los Angeles ma zamiar wrócić z medalem. Ma podstawy, żeby tak twierdzić. Doskonale radzi sobie z torem przeszkód, czymś zupełnie nowym w jej konkurencji. Jeśli czegoś jej zabrakło do medalu podczas mistrzostw świata – to równego biegu. No, ale to da się wytrenować

Czy nasza 20-letnia nadzieja na igrzyska olimpijskie jest zawodowym żołnierzem? Tego nie wiem i być może nie powinienem wiedzieć, bo pewne fakty objęte są tajemnicą wojskową. W każdym razie jest zawodniczką sekcji Legii Warszawa i jako taka startowała w wojskowych mistrzostwach świata w pięcioboju nowoczesnym, w jego najnowocześniejszej formule. Wróciła z medalami.

Nie tylko pięciobój nowoczesny, ale także inne sporty, np. biathlon, starają się zacierać ślady powiązań z armią i wojną. Tor przeszkód wcale daleko nie odbiegł jednak od wojska. Należę do tego niefartownego rocznika, który po zakończeniu studiów zobowiązany był do służenia ojczyźnie w mundurze przez 12 miesięcy. Wkurzało to nas, bo uważaliśmy, że niepotrzebnie tracimy rok życia, wojny w Europie nie było widać, a za wschodnią granicą mieliśmy nie wroga, ale sojusznika z Układu Warszawskiego.

Z perspektywy czasu myślę, że ten rok w wojsku nie był taki zły. Nabraliśmy kilku niezbędnych umiejętności, bawiliśmy się też dobrze. Jednym z elementów szkolenia był tzw. małpi gaj. Jako żywo przypominał to, co wprowadzono do pięcioboju nowoczesnego. Wojskowy tor przeszkód pokonać trzeba było w mundurze, w kamaszach i w określonym czasie. Wszystkich jego elementów nie pamiętam, ale był tam bieg po równoważni, pokonanie wysokiej drewnianej ściany, czołganie i na pewno coś jeszcze, bo małpi gaj kończyliśmy z zadyszką, zwłaszcza że chyba wszyscy paliliśmy papierosy podczas przerw w zajęciach. Ulubioną przez nas wojskową komendą było: „Spocznij, wolno palić!”.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 15.10.2025 r.

eprasa.pl 9bba2651f1

ŚŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Prezydent Karol Nawrocki siedział w fotelu i na 70-calowym telewizorze po raz dziesiąty oglądał relację ze szczytu pokojowego w Szarm el-Szejk. Co jakiś czas albo łapał się za głowę, albo dłońmi zasłaniał sobie oczy i ciężko wzdychał: – Ja pierdolę.

Obok w kącie klęczeli na grochu: szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki, szef Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz oraz szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego profesor Sławomir Cenckiewicz.

– Ale dlaczego? – jęknął Nawrocki.

– Dobre pytanie: dlaczego? – powtórzył stojący przy biurku społeczny doradca prezydenta profesor Andrzej Nowak.

Przydacz i Cenckiewicz wzruszyli ramionami. Bogucki nie wzruszył, bo od wzruszania bolały go ramiona.

– Dlaczego na tym szczycie był przedstawiciel Węgier, a mnie nie było? – zawodził prezydent.

– Ba, byli nawet przedstawiciele Azerbejdżanu, Armenii, Grecji i Cypru, a ciebie nie było – dodał profesor Nowak.

– Nawet Cypru?! – nie mógł uwierzyć Nawrocki. Doktor.

– O, to ten. – Nowak dotknął palcem telewizora. – A to przedstawiciel Salwadoru.

Prezydentowi aż pociemniało w oczach.

– Ja pierdolę, Salwadoru – zajęczał i pozwolił, by jęk ten wybrzmiał do ostatniej nuty.

– Nie mamy nic na swoje usprawiedliwienie – szepnął Przydacz.

– Poprawimy się następnym razem – obiecał Cenckiewicz.

Bogucki nic nie powiedział, bo od tłumaczenia się bolał go język.

– Jakim następnym razem?! – wrzasnął Nawrocki. – Następnego razu w tej sprawie już nie będzie!

– Przeminęło z wiatrem – syknął Nowak. – Ja to przynajmniej byłem na spotkaniu z przedstawicielami Alternatywy dla Niemiec. Alternative für Deutschland – przetłumaczył na niemiecki.

– Czy było to również spotkanie pokojowe? – spytał Cenckiewicz Nowaka jak profesor profesora.

Stojący profesor nie uznał za godną odpowiedzi klęczącemu profesorowi. Spojrzał tylko na niego jak na insekta.

– Szybko zorganizujcie mi jakąś oficjalną wizytę zagraniczną – rozkazał prezydent.

– Może być w Salwadorze? – zapytał Bogucki, bo język właśnie przestał go boleć.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN już prawie skończyła książkę o sobie. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** czuje się nieco wykluczona, bo jeszcze jej nie widziała.

Senyszyn: – To ci na pocieszenie fragment przeczytam.

Wołk-Łaniewska: – Dawaj.

– Może być o psie?

– Bardzo apolitycznie.

– Bo jest życie poza polityką… Słuchaj: „Pierwszym psem, którego pamiętam, choć słabo, był wesoły pijaczyna Kukuś. Pies zabłąkał się na pokład w jakimś zagranicznym porcie. Marynarze bardzo go polubili, bo okazał się świetnym kompanem do picia, ale kapitan już po pierwszym rejsie nie chciał go więcej widzieć. Ponieważ nie było co z nim zrobić, tata zabrał go do domu. Biały szpic do końca życia pozostał w szponach nałogu. Kochał gości, bo wtedy miał okazję podpijać napoczęte kieliszki z alkoholem, szczególnie podczas brydżowych wieczorów rodziców. W pijanym widzie wychodził przez otwarty lufcik na zewnętrzny parapet, a w domu zaczynała się akcja ratunkowa, bo trzeba było go ściągać do środka, żeby nie spadł z pierwszego piętra. Pewnego dnia Kukuś wymknął się na ulicę i zginął pod kołami taksówki”…

– No żesz, toż to jak „O psie który jeździł koleją”!

– Zanim film z tego zrobili dla dzisiejszych dzieci, które trzeba chronić przed emocjonalną traumą.

– Mnie też trzeba. Jak to Kukuś zginął?! Miało być na pocieszenie. Happy end by się przydał.

– Kiedy Kukuś nie miał happy endu. Miał za to szczęśliwe życie.

– Wiesz co, ty już może mi więcej fragmentów nie czytaj, bo całkiem mnie zdołujesz.

– Obrazki ci mogę pokazać zamiast tego. Teraz wybieram fotografie, bo biografia bez ilustracji jest…

– Jak ryba bez roweru.

– To dotyczyło człowieka bez religii i wskazywało na zbędność. Spróbuj jeszcze raz.

– Jak Trump bez samoopalacza.

– Dokładnie. Wyobraź sobie, że zdjęcia robione przez fotografów, także te sprzed obu wojen i z lat pięćdziesiątych są w znakomitym stanie, a amatorskie z klisz zmieniły kolor i są w ogóle beznadziejne.

– A ja akurat bardzo lubię te zdjęcia, które się same sepiują i stają się takie nieco prześwitujące… Na takim zdjęciu to nawet Trump by dobrze wypadł. Nie jak na okładce „Time’a”…

– Tej, o którą się awanturował?

– Dokładnie.

– Dla tych, którzy nie śledzą z zapartym tchem: tygodnik „Time” dał na okładce tytuł „Jego triumf” i pochwalił Trumpa za realizację pierwszej fazy planu pokojowego, wymianę więźniów, i nawet dodał, że może to być „strategiczny punkt zwrotny dla Bliskiego Wschodu”.

– Ale Trumpa oburzyło zdjęcie, które – wedle jego słów – może być „Najgorszym Zdjęciem Wszech Czasów”, bo ma na nim mało włosów i zwisające podgardle. I przy tej okazji chcę powiedzieć coś oburzającego.

– Chcesz robić konkurencję ministrowi Grabcowi, Hartmanowi czy Wieniawie?

– Nie, dlaczego?

– Bo ostatnio ta trójka wywołała największe oburzenie. Grabiec o udziale posła Sterczewskiego w misji humanitarnej do Strefy Gazy powiedział: „Jak oglądaliśmy zdjęcia z tych łódek w Barcelonie, to bardziej przypominało to wakacje niż misję”. Hartman jeszcze bardziej dał ciała, twierdząc, że Sterczewski powinien być sądzony i ukarany w Izraelu, ale wiem, że redakcja mu dobrotliwie wybaczyła, więc chyba chodzi o celebrytkę. Zdecydowanie odradzam zawody z nimi. My tu prowadzimy kulturalne dialogi na poważne tematy i nie możemy się zniżać do poziomu ucha od nocnika.

– A ja w ogóle w innym temacie chciałam pooburzać. Trumpowym.

– A to proszę.

– Otóż na dziś, na środę – bo nie wiadomo, co stanie się od zamknięcia tego numeru do momentu, kiedy w piątek trafi do Czytelników – uważam, że Trumpowi należał się ten pokojowy Nobel.

– No, to rzeczywiście zaskakująca enuncjacja.

– A już na pewno bardziej niż tej wenezuelskiej ciotce kontrrewolucji, która go dostała za to, że apelowała o zbrojną interwencję USA przeciwko swojemu krajowi i chce przejąć władzę, żeby sprywatyzować wszystko, ze szczególnym uwzględnieniem złóż ropy.

Rys. HENRYK CEBULA

– Chyba przesadzasz…

– Właśnie nie, mamy o niej całą kolumnę w tym numerze, polecam. Natomiast Trump – co tu dużo mówić – zmusił Netanjahu do tego, żeby przestał mordować Palestyńczyków.

– Nie całkiem: we wtorek IDF zastrzelił kolejne sześć osób. I z głodzenia Palestyńczyków Izrael też tak do końca nie zrezygnował, bo wpuszcza 300 ciężarówek z pomocą humanitarną dziennie, choć umowa była na 600…

– To prawda. I dorzucę do tego jeszcze kompletnie haniebny pomysł, żeby zbrodniarz wojenny z Iraku, Tony Blair, został wicekrólem Gazy. Ale jestem w tej sprawie z władzami Autonomii Palestyńskiej, które słusznie uważają, że najważniejsze jest zatrzymanie ludobójstwa. Wiceprezydent Palestyny Hussein al-Sheikh spotkał się z Blairem i wydał oświadczenie, że będzie z nim pracować dla utrwalenia zawieszenia broni. Więc jeśli ludzie przestaną ginąć od kul zbrodniczej organizacji, jaką jest IDF…

– Wyjaśnijmy: Israel Defence Forces, czyli Siły Obronne Izraela.

– I źródło światowej rozpoznawalności Boba Vylana, który na festiwalu Glastonbury wzniósł okrzyk „Death to the IDF”, co wprawiło brytyjski nibylewicowy rząd w stan totalnej histerii. Bo jak wiadomo, wzywający do zabijania okrzyk na festiwalu jest groźny i musi być zduszony w zarodku, w odróżnieniu od dwóch lat rzeczywistego zabijania. W każdym razie: jeśli ten rozejm się utrzyma, to niech Trump sobie ma tego Nobla. Choć może to i dobrze, że mu nie dali w tym roku, bo teraz przez rok musi pilnować Netanjahu, żeby mu się sukces pokojowy nie wykrzaczył. I tak, wiem, że Trump jest współodpowiedzialny za dwa lata izraelskiego ludobójstwa i mógł je zatrzymać w każdej chwili, odcinając Izrael od dostaw broni…

– Ale trzeba też trzeźwo sobie powiedzieć, że żaden inny prezydent USA, począwszy od Kennedy’ego, nie zachowałby się inaczej.

– Prawda. No i na koniec chciałam złożyć samokrytykę…

– Ależ proszę, to będzie interesujące.

– Nawet nie wiesz jak. Otóż chciałam najpokorniej przeprosić pana prezesa europosła Daniela Obajtka…

– Co, proces z nim przegrałaś?

– Ależ skąd, to raczej on przegra z nami. Nie do końca z nami, bo proces jest karny, ale to my będziemy mieli radochę. Ale ja nie o tym. Otóż chciałam najpokorniej przeprosić pana Obajtka za to, że zapomniałam mu podziękować w zeszłym tygodniu. Ale to dlatego, że byłam tak podniecona tym Paryżem. Dla niego, światowego bywalca, taki Paryż to pewnie jak splunąć, ale dla mnie, prowincjuszki… W każdym razie: przepraszam.

– Ale za co, u diabła?

– Bo zapomniałam podziękować za to, że Daniel Obajtek tak pięknie zareklamował naszą gazetę. Na konferencji prasowej, u boku samego Prezesa, wymachiwał naszym numerem z papieżem na okładce, i to z pełnym uszanowaniem, nawet w obwolutę go włożył…

– A, chodzi o ten numer, co wam wycofał ze stacji Orlenu?

– Łamiąc tym samym art. 49 w związku z art. 3 Prawa prasowego – „zakaz ograniczania lub utrudniania przez pracownika poligrafii i kolportażu drukowania lub nabywania prasy z powodu ich programu lub treści” – co stanowi przestępstwo przeciw wolności prasy.

– Co Parlament Europejski traktuje poważnie, nawet jeśli pan Obajtek z panem Kaczyńskim – nie. Stąd głosowanie za uchyleniem immunitetu.

– Na okładce, która tak oburzyła Obajtka, że zakazał sprzedaży numeru, był JP2 z ferulą, a do feruli przytroczona była lalka. W formie dziecka, bo to była ilustracja do tekstu o cierpieniu dzieci z rąk księży i ich przełożonych, kryjących ich swawole. I Daniel nie dość, że wymachiwał tą okładką, to jeszcze mówił tak: „Proszę sfotografować tę stronę, żeby społeczeństwo widziało”. Od czasu, kiedy Donald Tusk wytoczył Urbanowi proces za dowcip primaaprilisowy, żaden polityk nie zrobił tyle dla promocji naszego skromnego tytułu. Dziękujemy.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 9bba2651f1